Nr. 11. Lwów, Niedziela dnia 11. Listopada 1877 r. Tom VI.

TYGODNIK

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 4 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

O METODZIE TRAKTOWANIA SPRAW LUDOWYCH.

II.

(*Jakie zadania obejmuje pojęcie pracy nad ludem?*)

W poprzednim artykule zwrócono uwagę na tę okoliczność, że dotychczas traktowano u nas w publicystyce sprawy ludowe zbyt jednostronnie, mianowicie przeważnie z literackiego stanowiska. Pisano bardzo wiele o wydawnictwach popularnych i czytelniach, gdy w rzeczywistości z nader małymi wyjątkami lud nie umie i nie chce czytać. Drukowana propaganda może być przeto kiedyś najlepszym środkiem szerzenia w masach ludowych postępowych pojęć cywilizacyjnych, lecz dotąd niestety, zajmuje ona pod względem skuteczności praktycznej w naszym kraju jedno z ostatnich miejsc — o tak, *jedno z ostatnich miejsc!*

Nie należy tego twierdzenia w ten sposób rozumieć, jak gdyby rozpowszechnianie czytelnictwa pomiędzy ludem miało być niepotrzebnem. I owszem, później okażemy, iż w widokach agitacyjnych bywa ten środek bardzo zręcznie wyzyskiwany przez pewne stronnictwa polityczne, najczęściej na szkodę naszych interesów narodowych. Jeżeli jednak chodzi o podniesienie materyalnego dobrobytu ludu, o jego umoralnienie, czyli jednem słowem o rozwój cywilizacyi mas ludowych w ścisłem, realnem znaczeniu tego wyrazu, to prędzej zniszczyłaby nas propaganda wrogów, niż my zdołalibyśmy popchnąć dalej cywilizacyę ludu tylko za pomocą druków, zwłaszcza, gdy prawdę powiedziawszy, bardzo mało robi się u nas na polu piśmiennictwa ludowego.

Jest jednakże wiele innych środków pracy organicznej na polu cywilizacyi ludu, środków skutecznych i niezawodnych, którym to jedno chyba zarzuciłby można, że wymagają za wiele pracy.

Wyliczymy niektóre z nich, ażeby dać wyobrażenie o ogromie pracy objętej tak często poniewieraną nazwą „pracy nad oświatą i podniesieniem dobrobytu ludu".

Otóż wypada tu najpierw zaliczyć usiłowania, mające na celu ulepszenie systemu zagospodarowania gruntów włościańskich, które zajmują obszar dochodzący do ośmiu milionów morgów, tj. blisko 60% całego obszaru kraju. Jakżeż tu rozległe przedstawia się pole działania! Tu należą bowiem projekta urządzania misyi naukowych dla włościan, miejscowych wystaw instrukcyjnych, starania o nauczycieli objazdowych, pielęgnowanie pszczelnictwa, sadownictwa, uprawy roślin przemysłowych przez włościan, jak len, konopie, chmiel, anyż, tytoń i t. p. krzewienie przemysłu rolniczego pomiędzy ludem, nakłanianie włościan do przedsiębrania robót melioracyjnych, cała tak zawiła i trudna do przeprowadzenia sprawa komasacyi gruntów i t. d. Każde z wymienionych tu zadań zatrudnić może setki stowarzyszeń i kółek, tysiące pracowników przez długie szeregi lat.

Dalej wchodzi w ten zakres opieka nad handlem produktami gospodarstw włościańskich, ażeby wyzwolić go z mocy przekupniów najgorszego gatunku, pasożytów w najrzetelniejszem tego słowa znaczeniu, którzy za bezcen skupują od włościan ich płody, i panoszą się tym handlem, zubożającym kraj.

Niemniej ważnem byłoby zakładanie sklepików po wsiach, ażeby zapobiedz nałogowej wiócędze włościan po jarmarkach, i zrobić jakąś konkurencyę dla kramikarzy małomiasteczkowych, wyzyskujących lud bezlitośnie w handlu towarami korzennymi i innymi przedmiotami, które włościanin kupić musi.

Czuwanie nad rozwojem i udoskonaleniem przemysłu domowego pomiędzy włościanami, tudzież wyszukiwanie funduszów obrotowych i dróg odbytu dla tego rodzaju wyrobów samo przez się przedstawia zadanie, wymagające zeŝrodkowanych usiłowań i długoletniej pracy tysięcy światłego i patryotycznie usposobionego obywatelstwa. Z miłem uczuciem możemy sobie powiedzieć, iż działalność systematyczna na tem polu już się rozpoczęła, lecz jakież to małe dotychczas początki pracy w stosunku do ogromu zadania! Wszakżeż nie chodzi tu o nic innego, jak o to, ażeby w czasie wolniejszym od zajęć gospodarskich zatrudnić produktywnie przeszło cztery miliony ludności rolniczej, która stanowi 76% ogółu ludności. Niechaj tylko 10 centów wart będzie jeden dzień roboczy w naszym kraju, to każdy dzień przepróżnowany przez włościan przynosi społeczeństwu kilkakroć stotysięcy złr. ubytku w dochodach — każdy dzień pracy włościan przysparza krajowi kilkakroć stotysięcy złr. w. a. przychodu społecznego. Ileż więc wartości przedstawiałoby korzystne zatrudnienie próżnującej w znacznej części przez kilka miesięcy zimowych ludności włościańskiej?

Obmyślanie sposobów ochrony włościan i małomieszczan od wywłaszczania ich z posiadłości nieruchomej, jak niemniej od zbytecznego rozdrobnienia ich własności, należy też do tego działu pracy organicznej. W ten zakres wchodzi w całej rozciągłości sprawa regulacyi kredytu ludowego rzeczowego i osobistego, propaganda tej treści, ażeby włościanie nie wszystkie dzieci przy gruncie zostawiali, lecz ażeby oddawali je do rzemiosła lub do szkół wyższych, ażeby w drodze asekuracyi na życie zapewniali im wiano w pieniądzach, a wreszcie rozbudzanie u ludu chęci i odwagi do przedsiębiorstw rozmaitych tak, ażeby dochód ich nie ograniczał się wyłącznie na tem, co się z ziemi wyciągnąć uda.

Siła żywotna społeczeństwa podniosłaby się także niezmiernie, gdyby należytą baczność zwrócono na fizyczne zdrowie ludności — iżby kraj nasz nieszczęsny nie był stałem siedliskiem rozmaitych dla epidemii, ażeby nie figurował w statystycznych wykazach, jako odstraszający przykład najwyższej śmiertelności dzieci, ażeby miliony ludności nie gnieździły się w nędznych chatach bez powietrza i światła, w wilgoci i nieczystości, ażeby ogół ludności nie karłowaciał na ciele z każdym rokiem. Więc staranie o skuteczne wykonywanie policyi sanitarnej, o jednostajny rozdział sił lekarskich i aptek w kraju, o zaprowadzanie stopniowe porządku i wygody w mieszkaniach włościan, o hygieniczny tryb żywienia się ludności włościańskiej i mieszczaństwa uboższego — oto zadania piękne i szlachetne, które jednak wymagają długich lat wytrwałych usiłowań.

Ileż to niedoli ukróciłaby włościanom propaganda w tym duchu, ażeby odzwyczajać ich od nałogu pieniaczki, ażeby zaprowadzane były po gminach dozwolone ustawą sądy rozjemcze, ażeby wreszcie w nieuchronnych procesach włościanie nie udawali się o pomoc prawną do pokątnych partaczy, lecz do zawodowych jurystów!

Albo znów jak wiele przyczynić się mo głoby do podniesienia stanu cywilizacyi ludu staranie o to, ażeby jego rozrywki i obchody uro czyste pozbywały się dotychczasowego charakteru dzikiego i rujnującego lud na zdrowiu i mieniu?

Taki to obszerny zakres pracy przedstawia sprawa ludowa. Zaprawdę, nie można się dziwić, że niejednego opuszcza odwaga, gdy obejmie myślą ten ogrom trudów. Lecz czy wolno nam zostawiać tak ważną niwę pracy organicznej odłogiem, zostawiać ją do użytku Bóg wie komu, dla tego, że uprawa jej wydaje się nam za uciążliwą?

Sąd potomności nie mógłby zaniedbania z naszej strony pracy nad ludem, dla tego, że nam ta praca wydawać się może za trudną, inaczej nazwać jak nikczemną małodusznością.

KRWAWE ZNAMIĘ.

POWIEŚĆ

przez

J. J. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Kasztelanic zdawał się nie chcieć już słuchać; przerwał rozmowę, mówiąc coś do Zaranka, potem się zwrócił do koni. Przyniesiono wystawny podwieczorek, którego kasztelanic pod pozorem słabości nie tknął; przyjął tylko kieliszek wina, i ten, zręcznie nachyliwszy się, wylał przez okno, jakby w tym domu nie godziło mu się rozłamać chlebem, ani ugasić pragnienia.

Eugenek widział to, ale przypisał, że matka się pokazać nie chciała. Sądził, że kasztelanic rychło odjedzie, lecz stało się przeciwnie. Iwo mówił wiele, gorąco, Eugenka obsypywał grzecznościami, rozbawił się; wywiódł go w dziedziniec dla próbowania koni i do zmroku dokazywał z najdzikszymi, które pokonać umiał z cudowną zręcznością. Weszli na chwilę nazad do sal, które znaleźli oświetlone. Kasztelanic brał za kapelusz, aby się już pożegnać, gdy najniespodziewaniej otwarły się boczne drzwi na oścież i pani Spytkowa w czarnej aksamitnej sukni weszła do sali.

Na widok jej Iwo osłupiał. Pani Brygita zbliżyła się ku niemu ze zwykłą swą powagą i spokojem i odezwała się głośno:

— Pomimo żem cierpiąca, chciałam dawnemu znajomemu podziękować za okazaną synowi memu życzliwość. Czułam się do tego tem więcej obowiązaną dzisiaj, że później nie rychło zapewne mogłabym tego dopełnić, gdyż wybieramy się do Warszawy.

O tym wyjeździe ani Eugenek, ani nikt dotąd nie słyszał... wszyscy okazywali zdziwienie.

Kasztelanic rychło przyszedł do siebie, uśmiechnął się, skłonił i odpowiedział:

— Jakkolwiek miło mi to dziś usłyszeć z ust pani... przykro, że to ją najmniejszy wysiłek kosztować mogło. Byłbym w Warszawie, dokąd się także udać zamierzam, złożył jej moje uszanowanie.

Pani Spytkowa nie odpowiedziała nic, ale wstrzymała kasztelanica, który widocznie na jej skinienie pozostał. Rozmowa stała się obojętną.. a w chwili gdy Eugenek pytał o coś Zaranka, pani Brygita, nie przerywając jej, zaczęła chodzić po sali, wiodąc za sobą kasztelanica.

Przechadzka ta zrazu ograniczała się na okrągłej sali, potem przeszła jej próg... a wreszcie posunęła się w galeryą, na której końcu świeciła zębami białymi owa w hełmie trupia głowa.

Spytkowa zatrzymała się tu, odstąpiła parę kroków, popatrzyła z pogardą prawie na Iwona i zmienionym odezwała się głosem:

— Pytam was, czy po to staraliście się tu wedrzeć, aby mnie ztąd wygnać?

Iwo stał chwilę przybity.

— Takiem pytaniem po latach tylu Brygita witać może Iwona?... Przyznaj pani, to dziwne.

— Jestto łagodniejsze słowo, jakiegom użyć mogła. Przypomnij sobie coś uczynił, coś winien wobec mnie, a przyznasz, że ze wzgardy usta się te nawet otworzyć nie były powinny. Niżej dziś stoisz w mych oczach, niż najlichsze słowo moje spaść może .. niegodzien jesteś ani wejrzenia, ani wyrazu, ani pamięci. Powinnam była spytać, kto jesteś, a usłyszawszy nazwisko, nie przypomnieć so bie istoty, która je za życia nosiła....

Wyrazy te, mimo wysiłku, wymówione były z takiem uczuciem, że w głosie marmurowej niewiasty drganie łkania słychać było.

Iwo był posępny i długo milczał.

— Pani — rzekł nareszcie — potrzebuję mówić długo, abym się uniewinnił. Czy pozwalasz?... Nie będę potrząsał łachmanów mojej nędzy; powiem historyą i zażądam sądu. Wolno mi mówić tu, teraz?

— Nie — odparła kobieta.

— Więc kiedy? — nalegał Iwo... — Przysięgam, że nie wrócę tu więcej, nie mam po co... ale chcę byś pani wiedziała wszystko...

— Dlaczegoż mam wiedzieć kłamstwo?..

Iwo zapłonął, podniósł się i uderzył w piersi.

— Jakem żyw nie splamiłem ust fałszem dobrowolnie — zawołał — gdybyś pani śmiała..

Nie dokończył wzburzony.

— Teraz — dodał — nie proszę cię o pozwolenie... musisz wysłuchać mnie, lub.. lub... — tu się wstrzymał — lub pomszczę się na twojem dziecięciu...

Spytkowa, chociaż blada, zachowała całą przytomność umysłu, spojrzała na salę i poczęła ku niej wracać, a powracając i śmiejąc się dla pokrycia uczucia, którego doznawała — odezwała się:

— Zemsty się nie lękam, ale winnego wysłucham... Przyjedziesz, gdy cię syn mój wezwie.

— A wyjazd do Warszawy? — spytał Iwo, którego oczy paliły się.

— Odłożę — odpowiedziała wdowa obojętnie.

Weszli do sali, mówiąc o polowaniu. Niktby się był nie dorozumiał, że przed chwilą między niemi o życie lub śmierć toczyła się walka.

Kasztelanic rychło pożegnał się, siadł na koń i odjechał. Noc była ciemna, piękna, księżycowa. Eugenek gonił oczyma zręcznego jeźdźca, który w cwał puściwszy konia, znikł wkrótce w lipowej ulicy.

Chciał, powróciwszy do matki, nagadać się o Iwonie, podziękować jej, ale mu powiedziano, że z bólem głowy położyła się i nikogo, nawet jego, wpuszczać do siebie nie kazała...

W tydzień potem Eugenek zdziwił się, gdy mu matka obojętnie dosyć przypomniała, że powinien odwiedzieć kasztelanica i może go zaprosić do Melsztyniec raz jeszcze, nim do Warszawy wyjadą.

Chłopcu to było bardzo miło, bo kasztelanica niezmiernie polubił i czuł doń pociąg, którego sobie wytłumaczyć nie umiał. Wybrał się więc konno na rabsztyniecki zamek z panem Zarankiem i masztalerzem.

Wiadomośc o tej przejażdżce, tak na pozór mało znaczącej, pomiędzy starymi sługami mielsztynieckimi niemiłe zrobiła wrażenie i miano za złe pani, że na to pozwoliła. Jakkolwiek mało tu mówić było wolno za nieboszczyka pana, a tajemnice rodziny, ścisłem okryte milczeniem, ledwie między sobą w rozmowach napomknąć śmiano, tradycye te przechodziły pokoleniami, były wiadome w kółku dworzan, co oddawna Spytkom służyli, a teraz gdy stary zmarł, nieco swobodniej o nich między sobą gwarzono. Strzegli się tylko słudzy, wyraźny mając na to rozkaz pani, żeby Eugeniuszowi głowy nie nabijali powieściami, które ona za urojone, dziecinne a niebezpiecznie na młody umysł podziałać mogące uważała.

Stary ten zamek obfitował w podania, lecz tak dzikiej, krwawej natury, tak posępne i straszne, że w istocie dla młodego chłopaka, poparte powiastkami dotykalnemi, do których się ściągały, niebezpiecznemi być mogły. Chociaż Eugeniusza wychowano w zupełnej nieświadomości tego świata duchów, do którego się odnosiły, choć sceptyk był i śmiał się z podobnych bajek, wyobraźnia gorąca mogła je przyjąć mimowolnie i na tle ich pracować.

W istocie te wizerunki stare miecznika, jego córki, żony, ta niewiasta z pręgą krwawą, ta trupia głowa w hełmie i mnóstwo innych zabytków, sama powieść o przeniesieniu się do Mielsztyniec, splątane były z bajeczną może, ale tragiczną historyą rodziny Spytków. W podaniach tych głuchą jakoś rolę odgrywała także dziwnym zbiegiem okoliczności rodzina Jaksów, do której Iwo należał.

We dworze wiedziano tylko dobrze, iż od czasów miecznika, o którego gwałtowności charakteru dziwne chodziły wieści, nienawiść między Jaksami a Spytkami doszła do tego stopnia, że się już członkowie tych dwóch rodzin tradycyjnie nigdy nie spotykali... Wieść niosła, że przypadkowe nawet zetknięcie się ich z sobą, miało być zawsze przepowiednią nieszczęścia dla Spytków. Ztąd, jak pierwsza bytność kasztelanica przeraziła starych sług, tak przejazdce Eugeniusza oprzeć się chciano nawet, nie dając mu poznać tego,

że wagę do niej przywiązywano. Ale młode chłopię było samowolne, pieszczone, a otrzymawszy pozwolenie matki i pragnąc gorąco, niczem się już powstrzymać nie dało.

Wypadek ten, gdyż stary dwór nieboszczyka uważał to za straszny dopust Boży, za wróżbę nieszczęść niechybnych, skupił siwych sług pod zamkową kaplicę. Patrzyli oni na odjazd panicza, potrząsając głowami, przerażeni fatalnością, jaka nad rodziną ciężyć się zdawała. (C. d. n.)

NA RZECE PUERKO,

WSPOMNIENIE Z KALIFORNII

przez

KALIKSTA WOLSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Niedaleko miasta Wenizia koryto rzeki Puerco zaczyna się rozszerzać znacznie, a tak ciągle się rozszerzając przy swem ujściu do zatoki San-Francisco, podobna jest ta rzeka do wielkiej odnogi morskiej.

W Ameryce okręty parowe, pływające po rzekach większych lub mniejszych nie używają nigdy węgla. Palą one drzewem, w które się zaopatrują w składach, znajdujących się dość gęsto to na jednym to na drugim z brzegów, i z tej przyczyny statki te nie ładują nigdy materyału palnego w wielkiej ilości, lecz tylko tyle, ażeby im ten wystarczył do następnej stacyi, gdzie znowu ładują.

W kwandrans po opuszczeniu przystani Wenizia, widocznem było, iż *Oregon*, który wyjechał był 10 lub 12 minut później, starał się szybszem płynięciem nagrodzić stratę czasu, chciał wyminąć płynącego na przodzie *Nebraska*.

Jakiś gracz zdebankowany, który szukając pociechy w świeższej atmosferze, wyszedł na pokład, spostrzegł najpierwszy zamiar *Oregon'u*, płynącego już tak blisko, że prawie był w równej linii z *Nebraska*. Wpadł zatem do kajuty, gdzie grano w karty i gdzie w tej chwili temu, co trzymał bank, bito 80.000 dolarów donosząc o wyścigach dwóch statków na rzece.

Na tak drażliwą nowinę, wszyscy powstali gwałtownie, opuścili grę i stawki i z wielką złością, hałasem i wrzaskiem wypadli na pokład.

Bo i cóż za interes mogła mieć gra w *lansknechta* lub *monté* w tak ważnym dla wszystkich wypadku.. Inny daleko interesowniejszy i straszniejszy epizod mógł się odegrać za chwilę w tej gonitwie dwóch okrętów amerykańskich po rzece Puerco.

Stawką było w tej niebezpiecznej grze: życie kilkuset ludzi i całość okrętów, nie licząc mnóstwa zakładów prywatnych, które były zaangażowane przez pasażerów, stojących na obudwu pokładach. Nurty rzeki miały być dla zwyciężonych, a może też także i dla zwycięzców. Trzeba wyznać, iż partya gry była niepospolitą i mogła być pokusą dla ludzi, którzy w mniejszej lub większej dozie byli trunkiem zagrzani i mniej więcej wszyscy pijani.

Dwóch czy trzech graczów z butelkami araku w ręku podskoczyło do maszynisty i ofiarując mu pełną szklanicę kordyału, wykrzykiwali, że nie możebną jest rzeczą, aby statek, na którym płynęli, dał się wyprzedzić innemu.

Maszynista wypił ofiarowany mu trunek, nalał araku pełną szklankę i podał ją swemu pomocnikowi, a gdy ten się napił, znowu nalał sobie, i wychyliwszy duszkiem, obejrzał klapkę bezpieczeństwa, przymocował ją, kiwnął głową i wymówił:

— All right! (wszystko dobrze.)

Wszyscy inni pasażerowie, znajdujący się na pokładzie Nebraska, przylatywali po kolei do niego i dając mu sporą ilość dolarów, zachęcali, aby podniecał ogień i nie dał się wyprzedzić.

Flegmatycznego usposobienia maszynista nic nie odpowiadał, chował do kieszeni ofiarowane mu pieniądze i powoli kładł i dokładał ciągle do pieca, grube kawały żywicznego drzewa... Wkrótce też siła pary zaczęła posuwać statek z nadzwyczajną szybkością... Maszynista wówczas oświadczył, iż głowę swoję daje w zakład, że Nebraska około czwartej z rana przybije do portu San-Francisco.

Tak stanowcze zapewnienie maszynisty uspokoiło trochę niecierpliwych pasażerów Nebraska, którzy zaczęli byli już narzekać na jego flegmę i zimną krew. Cała ich teraz uwaga obróciła się na statek Oregon, na którym kapitan ze swej strony zapewniał pasażerów, jadących na jego okręcie a równie gorączkowo usposobionych jak i pierwsi, iż przybędzie do San-Francisco o trzy kwandranse na czwartą; z tych zatem zapewnień wypadło, iż pasażerowie obydwóch statków poczęli wzajemnie z siebie szydzić, urągać, a na końcu wymyślać jedni drugim.

Oprócz tych, którzy byli kompletnie pijani i nie mogąc się utrzymać na nogach, pozostali w kajutach, wszyscy na jednym i na drugim statku wyszli na pokłady. Każdemu z nich zdawało się, iż byłby osobiście zhańbiony, gdyby statek, na którym płynął, był prześcigniętym przez swego współzawodnika.

— Hurra! hurra! — wrzeszczało przeszło sześćset głosów na obydwóch statkach.

— Ci wszyscy ludzie mają napad szaleństwa — szemrał przypatrując się z zimną krwią temu niezwykłemu w Europie widowisku Adolf Parrot.

Towarzysz i wspólnik jego Stefan Godel był aż zielony z przestrachu. Włosy mu powstały na głowie, co chwila ocierał pot z czoła i trząsł się cały, jak gdyby miał paroksyzm zimnicy. Był on śmiesznym i okropnym zarazem.

— Nędznicy i głupcy — mruczał zaledwie dysząc i jąkając się z przestrachu jaki go opanował — jestem pewny, że wylecimy wszyscy w powietrze, a potem wpadniemy w wodę... Nie bój się Parot, mój przyjacielu, trzymaj się daleko od kotła i jak tylko poczujemy jakiekolwiek mocniejsze wstrząśnienie, skakajmy zaraz w rzekę; wszak ty umiesz pływać?... i ja także! To okropne! nie mieć możności pozostawać 48 godzin w spokoju... Trzeba będzie wyrzucić nasze złoto w wodę!... Mam wielką ochotę wypalić w łeb maszyniście...

— Cicho bądź, warjacie... Czy chcesz aby cię żywcem rozszarpano!

— Alboż to nie wszystko jedno być rozszarpanym przez tych nędzników, albo wylecieć w powietrze zdruzgotanym w kawałki przez tę piekielną maszynę. Parot, mój drogi, chodźmy na tylną część statku, chociaż musi być bardzo zimno, bo cały drżę, tam niebezpieczeństwo jest zawsze mniejsze.

I biorąc pod rękę swego towarzysza, któremu nie brakowało ani na odwadze, ani na ostrożności, prowadzić go chciał jak najdalej od rozpalonego na czerwono komina maszyny parowej. Lecz Parrot był prawdziwym Francuzem. Nowe zupełnie dla niego widowisko wzbudzało jego ciekawość i chciał pozostać blisko sceny, jaka się odgrywała przed jego oczyma.

Godel nie mogąc poskromić swej obawy, odszedł tedy sam na tył okrętu, drżąc na najmniejszy trzask lub niezwyczajny huk, jaki dawał się słyszeć.

Obydwa statki, prując przodem swych naw okrętowych wodę rzeki, która jakby ze złości spieniona usuwała się w bałwanach na prawo i na lewo, płynęły z nadzwyczajną szybkością.

Nebraska był ciągle na przodzie. Był to statek dobrze zbudowany, mocny, szerszy w swej tylnej części, a cieńszy w przedniej, chociaż w całości trochę za ciężki na podobne wyścigi. Machina jego parowa była całkiem nowa. Zdawało się zatem, że miał wszystkie warunki do otrzymania pierwszeństwa w gonitwie, jaką przedsięwziął, szczególnie jeżeliby potrafił utrzymać swego współzawodnika w dotychczasowej odległości aż do zatoki San-Francisco, w której woda morska, nie mając gwałtownego prądu rzeki, byłaby mniej korzystną dla współzawodnika w tej gonitwie.

Oregon był dłuższy, cieńszy, mniej ciężki, a z tego powodu również bardzo stosowny do ubiegania się o palmę pierwszeństwa w podobnych wypadkach. Znanem było tylko, iż w zatoce morskiej przechylał się bardzo to na jednę to na drugą stronę, skoro najmniejszy dął wiatr. Jeżeliby zatem nie wyprzedził w znacznej odległości swego współzawodnika na rzece, straciłby sposobność iść z nim w zawody, dojechawszy do zatoki, gdzie niemógłby korzystać ze swej lekkiej budowy i iść na wyścigi.

— Ale — może ktoś pomyśleć i zapytać — ponieważ Nebraska był ciągle na przodzie, a zatem widać, że był szybszy i mocniejszy. Dla czegoż Oregon porywał się na wyprzedzenie go?

Widać, że kapitan tego ostatniego statku miał jakiś powód jemu tylko znajomy, zważywszy nadewszystko, że w przystani *Wenizia* stracił kilkanaście minut więcej, aniżeli jego współzawodnik, i to nie wiadomo dla czego, bo Nebraska dojechawszy wprzód do przystani, zabrał już był wszystkie towary złożone nad portem i wszystkich pasażerów, chcących jechać do San-Francisco, a czekających na pierwszy statek przechodzący.

* * *

Wyścigi zaczęły się od pół godziny. Oregon starał się wyraźnie doganiać Nebraska i już przednia część pierwszego zaledwie o sążeń odległą (chociaż zawsze w tyle) była od drugiego.

Z obydwóch stron ożywienie było wielkie. Ponieważ oba statki płynęły niedaleko siebie, pasażerowie stojący na pokładach jednego i drugiego statku patrzyli na siebie prawie z nienawiścią.

Pogróżki głośne, urągania i wyzywania wzajemne dawały się słyszeć to na jednym to na drugim pokładzie. I ci i tamci nie zaniedbywali przytem popijać szampana i innych trunków dla dodania sobie więcej śmiałości. Wiskey, rum i gin krążyły nieustannie, a pijaństwo zamieniało się w szaleństwo.

Rzeka Puerco, której koryto rozszerza się
*

zaraz po opuszczeniu przystani *Wenizia*, zwęża się znowu w jednem tylko miejscu, a to z przyczyny dwóch skał, leżących na samych brzegach po jednej i po drugiej stronie na przeciwko siebie. Wysokie te skały stanowią niejako cieśninę blisko sto metrów długą, w której woda nie mając dosyć miejsca, aby płynąć spokojnie, przybiera nadzwyczajny prąd i staje się prawdziwym potokiem.

Chodziło zatem każdemu z dwóch wyścigających się okrętów, aby do tej niedługiej cieśniny wprzód dojechać. Ten bowiem, któryby pierwszy tam przybył, zmuszając swego współzawodnika do zatrzymania się (bo dwa statki w cieśninie nie mogły się obok siebie pomieścić), zyskałby kilkanaście minut czasu, co w podobnych razach było bardzo ważnem.

Oregon manewrował z ogromnem natężeniem, maszynista dokładał drzewa do kotła, ile tylko mógł. Kapitan bowiem tego statku, wiedział dobrze, że jeżeli choćby tylko przednia część Nebraski zdąży wejść pierwej w cieśninę, musiałby zakomenderować odwrót, aby nie wpaść na skałę i nie zdruzgotać o nią okrętu, którym dowodził, przez co straciłby całe dotychczasowe wysilenie dogonienia i chęci prześcignięcia swego współzawodnika w przedsięwziętej gonitwie. Wszyscy pasażerowie, stojący na jego pokładzie, pomagali maszyniście, latali, przynosili drzewo i zachęcali, aby koniecznie wyprzedził Nebraskę.

Maszynista za każdem wrzuceniem kilku kłód drzewa do rozpalonego już w najwyższym stopniu pieca, jakby z radości, że statek posuwa się prędzej, brał z rąk otaczających go pasażerów butelkę wiskey i popijał.

Była chwila, w której obiedwie nawy okrętów znajdowały się w jednej linii. Kilkaset zaledwie sążni oddzielało ich od cieśniny, o której wyżej była mowa... Prąd rzeki stawał się coraz silniejszy..., a więc za pięć lub sześć minut straszna katastrofa mogła nastąpić. Już nie jeden z tych statków leciał na swą wyraźną zgubę, ale obydwa ryzykowały zgruchotać się o skały, a prędzej nawet przez eksplozyę swych kotłów wysadzić wraz ze wszystkimi pasażerami w powietrze. Żaden jednak nie chciał ustąpić.

— Go a head! Go a head! (naprzód, naprzód)—wrzeszczeli z całego gardła i jedni i drudzy pasażerowie.

Nagle wszystko ucichło, chwila była tak przerażającą, tak uroczystą, że pomimo pijaństwa, w którem wszyscy na obydwóch statkach byli pogrążeni, zrozumieli ci warjaci, iż coś strasznego musi nastąpić. Z komina statku Nebraska wybuchła kolumna płomienia, uniosła się w dość znacznej wysokości i pod ciśnieniem powietrza rozszerzyła się przybierając kształt jakiegoś piekielnego potworu.

Zjawisko to trwało zaledwie kilka sekund, a podczas okazania się jego, Nebraska podskoczył na wodzie, jakoby koń ostrogami podbudzony i wyprzedził o parę kroków Oregona, którego pasażerowie rozjątrzeni do najwyższego stopnia, powydobywali rewolwery i celowali do tych, co stali na pokładzie przeciwnika chwilowo tryumfującego.

Płomień ten był wznieconym przez wrzuconą do kotła beczułkę sadła, które po rozpęknięciu drzewa rozlewając się gwałtownie, sprawiło ów nadzwyczajny płomień, wydobywający się wysoko po nad komin. Było to straszliwe. I jak się stało, że kocioł nie pękł, a płomień nie ogarnął w tej chwili całego statku, dotąd jest rzeczą niewytłumaczoną.

Stojącemu na jednym z brzegów rzeki i przypatrującemu się temu widowisku, zdawałoby się pewnie, iż mu się coś nadzwyczajnego i niepokojącego śni, gdy tymczasem pijani pasażerowie Nebraski, którzy lada chwila mogli się stać ofiarami i znaleść śmierć w nurtach spienionej rzeki, nie tylko nie zważali na grożące niebezpieczeństwo, lecz i owszem swym wrzaskiem zachęcali i podniecali maszynistę, aby i nadal używał podobnego sposobu pospieszania. Jeden z nich rzucił mu kilka sztuk złota, a za jego przykładem inni obsypywali go ze wszystkich stron, rzucając pod nogi 10 i 20 dolary, a nawet owe ośmiokątne piastry meksykańskie, z których każda ma wartość 250 fr. i niejedna z nich rzucona nieostrożnie, zamiast u nóg maszynisty dostała się do ogniska, gdzie w jednej chwili stopioną była.

Dojeżdżano do cieśniny. Sternikowi Nebraski pomimo tego, iż wypił nadzwyczaj wiele wiskey, udało się uczynić pewien dość szczęśliwy obrót. Skierował on przód swojego okrętu wprost na skałę, a przez ten kierunek stanąwszy w poprzek wejścia do cieśniny, przeszkodził swemu współzawodnikowi pierwej się tam dostać. Myślał bowiem, iż z przyczyny nadzwyczajnego prądu ten nie mogąc się gwałtownie zatrzymać, będzie musiał kierować się ku jednemu z brzegów położonych przed cieśniną i z tego powodu straci kilka lub kilkanaście minut tak stanowczych w owej chwili wyścigów.

Lecz kapitan Oregon'u zrozumiawszy myśl swego przeciwnika, wydał rozkaz zatrzymania się.

— Dyrekcya statku w tył — krzyknął pioronującym głosem, a jakby piekielny ogień podniecający machinę parową zrozumiał komendę swego naczelnika, statek zatrzymał się.

Bo też ci, co tak zręcznie obroty swych statków wykonywali, byli niezwykłymi marynarzami. Wszystko oni biegle naprzód obliczyli; gwałtowny prąd rzeki, długość i szerokość swojego i przeciwnika statków, i to wszystko po pijanemu. Któż może wiedzieć, czy gdyby byli w trzeźwym stanie, tak dobrzeby manewrowali i czyby jaka katastrofa nie była nastąpiła. Być może, iż uważali za prawdziwe owo przysłowie, które powiada, iż Pan Bóg proteguje dzieci i pijanych.

Prawe skrzydło Nebraski zaczepiło w tej chwili lewy bok Oregon'u. Usłyszano na obydwóch pokładach złowrogi trzask i w tym samym czasie nadzwyczajny plusk wody w rzece, jakby coś ciężkiego w nią wpadło. Ponura cisza, która trwała krótką chwilę, nagle przerwaną została gwałtownym śmiechem, mającym w sobie coś piekielnego.

Trzask ów pochodził z tego, że Oregon miał strzaskane deszczułki, ochraniające koło jego zewnętrzne. Było to powodem wielkiego przestrachu pasażerów znajdujących się na tymże statku. Wszyscy z pospiechem wtłoczyli się w stronę łoskotu i spowodowali tym ruchem znaczne przechylenie, tak, iż koło z przeciwnej strony okrętu się znajdujące było zupełnie nie w wodzie, ale w powietrzu, śmiech szyderski pasażerów Nebraski na to zjawisko niezwykłe, które się Oregon'owi przydarzyło, przyprowadzał do wściekłości tych, co na nim jechali.

W tej chwili Nebraska był zwycięzcą, a pasażerowie obsypali złotem swego maszynistę i sternika.

Lecz za to ci, co się znajdowali na Oregonie, byli w rozpaczy. Jeden z nich najwięcej egzaltowany, czy też pijany, przyskoczył do maszynisty, przyłożył mu nabity rewolwer do głowy, a wymyślając najbardziej grubiańskiemi wyrazami, zagroził mu, iż jeżeli Nebraska, przybędzie pierwszy do portu San Francisco, wypali mu jak psu w łeb.

Maszynista uśmiechnął się z pogardą na podobną groźbę, pozostawiając kapitanowi odpowiedź w tym względzie, który też nie czekając aż się pasażerowie uspokoją, przemówił do nich w następujące słowa:

— Panowie! Przyznać musicie, iż mnie pewnie najwięcej obchodzi utrzymać honor statku, którym dowodzę. Gdybyście zabili tego, który kieruje okrętem lub maszynistę, któż doprowadziłby nas do celu naszej podróży. Dajcie im pokój i nie molestujcie ich wcale, a ja wam po raz drugi zaręczam, że przybędziemy do portu San Francisco dwie godziny wcześniej aniżeli ten okręt, z którym teraz idziemy na wyścigi. Możecie w tym wypadku polegać stanowczo i zupełnie na mojem słowie.

Pewność i zimna krew, z jaką kapitan wypowiedział tych kilka słów, uspokoiły najgwałtowniejszych, czyli najwięcej pijanych. Zaczęli więc na nowo pić, wrzeszczeć, szydzić z tych, co się znajdowali na pokładzie Nebraski, wierząc jak w Ewangelię przyrzeczeniom swego kapitana.

(Dok. nast.)

WET ZA WET.

OBRAZEK Z ŻYCIA KRAKOWSKIEGO,

przez

AUTORA: „KŁOPOTÓW STAREGO KOMENDANTA“.

(Ciąg dalszy.)

Nareszcie zbliżał się dzień oznaczony do wyjazdu naszych Litwinek do Krynicy. Pawełek, widząc się coraz bardziej zaniedbanym przez pannę Ludwikę, odwiedzał je o tyle, o ile zwykła grzeczność, wymagała. Jednak ta pozorna obojętność musiała go wiele kosztować, bo posmutniał bardzo, zmizerniał i zżetyczał do niepoznania. Za to praktyka, dzięki rekomendacyi przekupki z bramy domu, zaczęła mu iść potrosze. Niefortunna kuracya Jakóba, mimo to, zrobiła mu sławę leczącego bardzo szczęśliwie pijaków, ztąd coraz częściej między trzecią a piątą zjawiały się podrapane kumoszki, windujące gwałtem na drugie piętro podchmielonych węglarzy i tragarzy kleparskich, żądając dla swoich mężów takiego samego lekarstwa, jak dla stróża Jakóba, który po tej awanturze ani chciał spojrzeć na wódkę.

— Żeby to i mojemu mógł tak wielmożny doktor obrzydzić to gorzałczysko — błagała młoda i bardzo przystojna brunetka przedstawiając tęgiego i zasmolonego węglarza. — Już sobie rady dać nie mogę z tym człowiekiem; dzień w dzień tylko pijany, i gęby nie może oderwać od tej blachy.

— No, widzicie ją państwo — odzywa się zataczający małżonek — od blachy... od blachy... A cóż to ja ci na porter pójdę, albo na wino do Hawełki, hę? Stać mię to na to, hę? Na blachę mię stać, to idę na blachę... Cóżem ja ci to pan jaki, albo profesor, albo hrabia... Gdzież pójdę, ani do Fuchsa?...

— Tylko do czerwonej kamienicy — mówi żona.

— Baj baja... co też pan doktor słucha tej jakiejś... na to człek pracuje, aby miał, na co go stać...

— Moja kobieto, cóż ja ci poradzę — rzecze Paweł do narzekającej — niech się wyspi... Doktor niesie pomoc tylko chorym...

— Prawda, wielmożny doktorze, każden zniesie, co mu przypada: ja że sobie jestem węglarz, jak się patrzy, to niosę kosz z węglami...

— Cicho mi bądź, ty pijaku!

— Stul... bo jak cię zamaluję! — krzyknie mężulko, zamierzając się w wahadłowy sposób do uderzenia, lecz straciwszy równowagę, kładzie się z łoskotem u stóp Pawełka.

Kobieta jednak tak prosiła o lekarstwo, że biedny doktor chcąc ich się pozbyć, zapisał też samą miksturę, co Jakóbowi przy spodziewanym tyfusie... Cóż chcecie? — Kobieta gwałtem wlała to śpiącemu do ust, i od tego czasu mąż ani zajrzał do czerwonej kamienicy... Powiedział kolegom, że doktor zadał mu takie lekarstwo, że więcej już wódki pić nie może.

* * *

W wigilią wyjazdu Litwinek, już późnym wieczorem, nasz doktor powstał z krzesła aby je pożegnać...

— Panie Pawle — rzecze Ludka, zostawiając dłużej niż zwykle swą rękę w jego dłoniach — tęskno nam będzie bez pana w Krynicy.

— Gdybym mógł — odpowiada zimno — towarzyszyłbym paniom z największą przyjemnością.

— Powiedz pan, gdybym chciał.. No, pomyśl pan jeszcze do jutra, przywykłyśmy już do jego towarzystwa... zresztą potrzebować mogę jego rady lekarskiej...

— Och! co do tego, to jestem spokojny — pani jesteś tak praktyczną i systematyczną osobą, że rada takiego letkiewicza, jak ja, mogłaby najgorsze skutki sprowadzić.. Życzę dobrej nocy paniom — kończy Pawełek, kłaniając się z uszanowaniem.

— Joasiu — rzecze do siostry Ludka — wieczór mamy tak piękny, że szkoda go przesiedzieć w hotelu — pójdźmy na pół godziny na plantacye.

— Zgoda, idziemy...

— To i ja z wami — dodaje ciotka.

— A nie uciekajże kuzynku! na pożegnanie zadaj sobie jeszcze ten trud... proszę zaczekać, ubierzemy się za chwilę.

Jakkolwiek nie wielką miał ochotę Paweł do tej wieczorowej peregrynacyi po plantacyach, jednak zatrzymał się przy drzwiach.

— Proszę, podaj mi pan rękę — mówi Ludka, gdy zeszli na dół. — Czy się mnie pan boisz, czy chcesz być konieczne niegrzecznym?

Machinalnie więc podawszy jej rękę, szedł milcząco doktór przez całą Sławkowską ulicę; należał bowiem do rzędu tych dziwaków, którzy najwięcej zaczynają się gniewać wtedy, gdy druga strona ustępuje... Maltretowani, schylają głowę z pokorą, lecz przeczuwszy u drugich pokorę, nabierają wtedy odwagi i zaczynają się drożyć.

— Na miłość Boską — rzecze już zadąsana panienka, wyprzedziwszy nieco postępujące za nimi kobiety — mówże pan co? Śliczny mi z pana kawaler... czy nie masz pan nic do powiedzenia?

— Daruj pani, ale rzeczywiście nie mam...

— Nawet mnie, przyjaciółce z lat dziecinnych?

— Tembardziej pani...

— Zaciekawiasz mnie, kuzynku, dlaczegoż mnie tembardziej..

— Pojęcia nasze są tak dziś różne, niełaska pani dla mnie tak widoczną — rzecze cokolwiek drżącym głosem doktór — że milczenie moje powinno być najlepszą zabawą dla pani.

— Widzę, że ciocia ma racyę, nazywając pana bajronistą Przekonywam się teraz, że w sercu pana mieści się całe gniazdo jakiegoś zwątpienia, rozczarowania, apatyi i innych tego rodzaju czarnych sentymentów... Ależ rozbudź się pan trochę... no, proszę, ocknij się! — mówi, potrząsając jego rękę.

— Czy pani doznałaś kiedy zawodu? — pyta się żywiej z pewną goryczą w głosie.

— Albo to raz! Dziś nawet doświadczyłam jednego z największych...

— Słucham, pani — przerywa jeszcze żywiej Paweł.

— Prejsowa nie skończyła mi bareżowej sukni, i muszę na taki upał jechać w tej czarnej kaszmirowej... I mam zaraz desperować o to, nachmurzać się, milczyć jak grób... Za pozwoleniem, czego pan wysuwasz swoję rękę... cóż, chcesz mnie rzucić na ulicy?... zapowiadam, że nie puszczę pana, póki się nie dowiem historyi tego zawodu...

— Otóż, dowiedz się pani — mówi już z powagą Pawełek — że złamałem sobie lancet...

— Tak, to rozumiem — widzisz pan, już jesteśmy na drodze porozumienia... Bodajto otwartość? — mówi, śmiejąc się wesoło panna Ludwika — zupełnie jak między przyjaciołmi...

— Panno Ludwiko — rzecze, zatrzymując się z irytacyą doktor — powiedz mi pani, czemu pastwisz się nademną? czego chcesz odemnie?

— Ja się pastwię!? wyborny pan jesteś! — Ale proszę, idźmy dalej... czego się pan zatrzymujesz, pomyślą nasi, że się kłócimy... Wytłómacz mi się pan zaraz, co znaczą te jego wyrazy: „pani się pastwisz?“

— Skoro pani tego żądasz, to daruj, jeżeli będąc otwartym, powiem jej to, co może się niepodobać...

— To, to, to właśnie, jestem zaciekawiona...

— Dlaczego pani igrasz ze mną jak kot z myszą?

— Jeszcze nic nie rozumiem... Wprawdzie bardzo lubię koty, szczególniej młode, gdy swawolą, ale tak samo lubię i myszki... zkądże więc takie przyrównanie do kota..

— Pani nie chcesz mnie rozumieć?

— Może i nie chcę, może chcę, żebyś pan wyraźniej powiedział, co myślisz...

— A jak nie powiem?

— Eh! powiesz pan, jak zacznę prosić — a zresztą jestem obrażona, więc musisz się wytłómaczyć — tak, sądzę, postępują ludzie porządni i uczciwi...

Nastąpiła chwila milczenia, doktór przyspieszał kroku widocznie, cały roznerwowany tak, że postępując obok niego Ludka, wyraźnie czuła przez rękę gwałtowne uderzenia jego serca.

— No, i jakże, nie wyjdziemy z tego zaczarowanego koła zagadek?

— Doprawdy, pani mnie przyprowadzić chcesz do rozpaczy... proszę, powiedz mi, kto pani jesteś.. chyba szatan kusiciel, a nie kobieta?

— Ach to już najkompletniejszy Bajron przez pana mówi — rzecze Ludka. Otóż uspokoję pana, co do mojego szatańskiego pochodzenia: jestem tylko kobieta, i to kobieta umiejąca więcej czuć, niż panu się zdaje; obdarzona lepszą pamięcią, niż pan sobie wyobrażasz... a przytem kobieta rozumiejąca swoję godność, a zatem zdolna do karania niewczesnych żartów pewnych młodych przyjaciół swoich...

— Więc to ze strony pani tylko zemsta? — zawoła, drżąc cały ze wzruszenia Pawełek.

— Już ukończona...

— I to faworyzowanie Tadeusza?

— Było dalszym ciągiem metody badania serca i charakteru dawnych naszych przyjaciół. Nie udało się incognito, dzięki niewstrzemięźliwości ciotki — potrafiłam więc powetować sobie tę klęskę w inny sposób. Pan Tadeusz okazał się tu najlepszym sprzymierzeńcem i wygadał na pana wszystko to, co chciałam wiedzieć... Obmawiając — chwalił, i jeżeli kiedy wybaczysz mi, panie Pawle, ten podstęp — jemu podziękuj..

— Ludwiko droga! — szepnie, przyciskając z rozkoszą jej rękę do swej piersi — więc ty mnie kochasz?

— Tak samo jak przed dwunastu laty...

— Ależ to niebo dla mnie.. Zlituj się, mów, mów jeszcze, ja nie wierzę mojemu szczęściu — to chyba sen .. ja zwaryuję, mnie się ćmi w oczach...

— A ty, Pawle? — szepnie mu do ucha...

— Ja, ja? ja jestem nędznik... niegodzien dotknąć ustami kraju twej sukni... ja jestem sowizdrzał bez czci i wiary...

— Hola Pawełku... tylko bez tych frazesów, ja lepiej wiem kto ty i co ty jesteś, tylko...

— Kocham cię do szaleństwa, bóstwo ty moje...

— Znowu frazesy — przerywa, dając mu klapsa po ręce. — Pocóż to: do szaleństwa .. pocóż to: bóstwo, zlituj się, nie możesz powiedzieć, jak mówi każdy czujący godność swą i siłę mężczyzna...

— Ludko droga, ja kocham, kocham jak ostatni niewolnik...

— A pfe, nie bądź dziecinnym, Pawle, ja chcę widzieć w tobie kochającego męża, opiekuna, przewodnika i przyjaciela...

— Za pozwoleniem, panowie młodzi! — woła, goniąc za niemi już przed samym zamkiem ciotunia. — Cóż wy sobie myślicie, że mamy tu nocować gdzie na ławce... Słyszycie, bije dwunasta?... my z Joasią już nie możemy nogami powłóczyć .

— Cioteczko kochana — zawołał, dusząc w uściskach panią Wiktoryę Pawełek — jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi... Ludka mię kocha...

— Dziwi mnie, zkąd jej to tak nagle przyszło do głowy — mówi ciotunia, wydobywając się z żelaznych objęć Pawełka — bo żeby to na mnie trafiło, tobym ci wręcz powiedziała: „idź precz brzydalu!“ A dajże mi raz pokój, czyś zwaryował? Patrzcie państwo, na nic mi pogniótł kapelusinę...

— Pani Joanno, a pani mi przebaczysz tę mistyfikacyę dziecinną...

— Ja się nie gniewałam, drogi Pawełku... niech wam Bóg błogosławi!

— O moi państwo! tylko też dajcie pokój z tem błogosławieństwem na ulicy — rzecze poczciwa staruszka, odciągając panią Joannę. —

Widzę, ten letkiewicz zaraził was swoją fiksacyą.. prędzej, prędzej do domu, bo wkońcu gotowa nas policya zabrać do aresztu, że takie hałasy wyprawiamy po nocach...

* * *

Pożegnawszy przed hotelem swcje damy, uszczęśliwiony nad wszelki wyraz Pawełek, biegł do swego mieszkania, przeskakując po trzy schody naraz. Za nim, stukając przeraźliwie butami, cały zaspany, gramolił się Jakób, niosąc karafkę wody w ręce.

— A to też lekuśkie nogi ma pan dochtór — rzecze, otwierając drzwi pokoju. — Myślałem, co wielmożnego pana coś złego niesie na górę.

— Bo widzisz, Jakóbie, jestem tak kontent, że mógłbym fruwać z radości po powietrzu...

— Oj, bo to prawda — rzecze, stawiając karafkę na stole, i zabierając się do usłania łóżka...

— Co, nie wierzysz, nie? — chybaś nigdy nie widział szczęśliwych ludzi.

— Bogać tam nie widziałem! A nas Mendel, prepinator z Binczyckiej karczmy, to sobie szczęśliwy człek, co ino... Luda u niego zawsze pełno, a pieniądze to mu jak lód płyną za wszyćko. Ale nasz Mendel, to nigdy tak nie skacze, jak pan dochtór: on se jedną ręką trzyma *porcynelkę* w garści, a drugą se wsadzi za pas, i sielma zyd ino se podśpiewuje: bim bom bom... ino głaszcze brodę, kiej się biją nasi w karczmie.

— Widzisz Jakóbie, ja się żenię...

— Eh! taka to scęśliwość pana dochtora! — mówi stając przed Pawełkiem z litosną miną... Miałem ci ja dosyć takiej szczęśliwości z moją babą, to wiem. Jak dajesz, toś dobry — a jak nie ma zkąd, to jej nie trza męża... Po takiej szczęśliwości, toby człek rad zabaczyć, czy ona zyje albo nie..

— Cóż ci zawiniła? — pyta wesoło Pawełek...

— Pókim miał swoje gospodarstwo, to siedziała ze mną w chałupie, a jak mi sprzedali z banku za dług, to mię cisnęła, i siedzi teraz w Krzesławicach z tym Ruskiem, na wiarę...

— Mój kochany, u nas co innego... Widziałeś te panie, co tu raz były, pamiętasz tę młodszą, ładną.. otóż z nią się żenię...

— Wszystkie one jednakowe, proszę wielmożnego dochtora, i ta pana grafinia, jakem jej zaniósł kwiatki od tego czarniuśkiego, co to siedzi w kancelaryi u metereusza na Grodzkiej, to mi dała szóstkę, i tak wąchała one kwiatki, tak wąchała.. Ale, proszę też pana dochtora na jutro na bułki.

* * *

— Mój drogi panie — zaczepia mnie na drugi dzień rano wypomadowany i wystrojony, jak pierwszy elegant, pan Tadeusz — proszę, bądź łaskaw i poradź mi.

— Co takiego zaszło? — pytam, widząc go w niezwykłem ożywieniu.

— Chwileczkę czasu poświęć mi, szanowny panie — mówi żywo, biorąc mnie pod rękę — idę oświadczyć się mojej Litwince, i chciałbym, uważasz pan, kupić jakiś prezent, tak coś ze złota... coś, uważasz pan, wspaniałego, za parę set reńskich... Pan, kochany panie, przebyłeś te wszystkie ceremonie, i znasz się na tem... proszę, wstąpmy do jubilera... a może wprzód na wódeczkę do cukierni, hę?

— Daruje pan — mówię, wysuwając zwolna rękę z pod jego ramienia — ale tak jestem zajęty moją sprawą, że ani głowy, ani czasu nie mam do wybierania przedmiotów dla narzeczonej..

— To tylko kwandransik czasu.

— W tej chwili nie mogę... zatrzymaj się pan do jutra, nie mogę dziś.. mecenas czeka, a tu już blizko dziesiąta..

— Ależ one dziś wyjeżdżają, proszę pana...

— Najlepiej będzie, jak pan zobowiążesz którego z taksatorów banku, — oni się na tem znają..

— Fe! jakto brzydko ze strony pana odmawiać takiej bagatelnej usługi znajomemu i przyjacielowi — rzecze do mnie z widocznem oburzeniem. — Ee! jaki to dziś świat... jaka to oziębłość...

I odszedł zirytowany do żywego moją odmową, i widziałem jak wpadł do jubilerskiego sklepu na Floryańskiej ulicy...

* * *

(D. n)

STUDYA ESTETYCZNE

przez

WOJCIECHA HR. DZIEDUSZYCKIEGO

(*Ciąg dalszy.*)

Choć tedy Medyolańczycy całej myśli Leonarda nie objęli, myśleli tak tylko, jak im Leonardo kazał. Florentczycy okazali więcej samoistności w początkach szesnastego stulecia. Głównie tylko wieczerza pańska na nich oddziałała. Wrócono tedy we Florencyi do malarstwa monumentalnego, a nawet obrazy olejne, wcale małe, traktowano co do draperyi i barwy i ugrupowania monumentalnie, jak przed sześćdziesięciu laty za Ghirlandaja i Masaccia. Tylko twarze malowano li piękne — jeźli nie zupełnie greckie, jeźli z życia wzięte, zawsze dziwnie do greckich zbliżone. Tak malowali *Ghirlandajo* młodszy, *Albertinelli*, *Fra Bartolomeo* i *Andrea del Sarto*. Wymieniliśmy ich w chronoligicznym porządku, ale należy pamiętać, że najstarszy był tylko o dwadzieścia kilka lat starszym od najmłodszego. Działali tedy współcześnie, malowali prawie na jeden sposób, a że dwaj ostatni najwięcej po sobie dzieł zostawili, więc wystarczy, gdy o nich pomówimy, kończąc dzieje oryginalnego florentyńskiego malarstwa.

Fra Bartolomeo malował po stu leciech w tym samym klasztorze, w którym niegdyś *fra Beato* miewał serafickie widzenia. Z pod jego pędzla wychodziły jednak głównie obrazy olejne. Najlepsze są w obydwu galeryach florentyńskich. Jeremiasz prorok uwisł w trybunie w *Galeria degli Uffizii*. Jestto postać półnaga, większa o wiele od zwyczajnych ludzi, przypominająca rozmiarami także kolosalnych apostołów na wieczerzy pańskiej. Linie ciała ułożone spokojnie, wielkie tylko muszkuły występują z szarego tła obrazu, wielka jaskrawa draperya dalszą część obrazu zakrywa, jedna noga na drugą założona, ramię sparte na kolanie, a siwa brodata głowa na ramieniu. Gdyby nie włos siwy i nos orli, myślałbyś, że widzisz przed sobą kolosalnego boga greckiego, przebywającego w bezmyślnem szczęściu. A światłość, która postać oblała, wyszła z niej samej i czyni ciało to prawie przezroczystem — jakby z promieni lanem — choć tak potężnem.

Na „złożeniu do grobu" w Palazzo Pitti wyraźniej jeszcze widać wpływy starożytne. Przepiękne, ol'rzymie, przejrzyste ciało doskonale pięknego Chrystusa legło na wielkiej draperyi — świetlane w nagości swojej. Śmierć nie zmieniła jego barwy, nie starła spokoju z głowy, a piękność nagości w całej wystąpiła pełni. Madonna, święty Jan i Marya Magdalena klękli do koła w rzeźbiarskich pozach, i matematycznych jaskrawych draperyach, z których wnętrza niby światło wychodzi, i o których niewiadomo z czego uszyte. Głowy to i postacie zupełnie idealne, nieosobiste prawie, wiecznie młode, i przyodziane w szaty, co szat przeciętnią, i abstrakcyjnym obrazem szat rodzaju. Ani cierpienia, ani uczucia nie masz wcale w tej grupie, co tylko pięknie pozuje na to, by ją widz podziwiał, i by sobie zdał sprawę z ładu linii i znaczenia, i z zasadniczej zwykle przez rozum tylko widzianej formy ciała. Postacie te przypominają staro-helleńskie posągi, nie są jednak równie plastyczne jak one i nie budzą przeto takiej grozy. A potem dla nas dziwną ta matka syna, co nad jego martwem ciałem nie boleje, i spokój bogów greckich wydaje się w scenach ewangelicznych obojętnością, a obojętność ta nie daje współczuwać z pięknymi cieniami na płótnie. Florentczyk, chwaląc te obrazy, żadnych nie żądał wzruszeń, żadnej nie wymagał poezyi. Tylko rozum jego pragnął oglądać abstrakcyą formy.

Andrea del Sarto, ostatni prawdziwie florentyński malarz, któryby nie był raczej rzeźbiarzem, uległ już wpływom pochodzącym z państwa kościelnego, i przeto nie do rozumu już tylko mówił. Sposób malowania i rysowania u niego ten sam, co u poprzedników i współczesnych. Wielka tu trzeźwość linii, wielkie skąpstwo barw, czasem nijakich, czasem jaskrawych tworzących wielkie niebieskie lub czerwone plamy na nijakiem tle. Światło wychodzi z wnętrza postaci występujących czasem z szarego a czasem z błękitnego nieba, pozbawionego promieniejącej własności. To owe duchy o postaci ludzkiej, idealnej, starogreckiej, udrapowane w matematyczne fałdy same promienieją. Typ ich Fidyaszowy, usta na poły otwarte i uśmiechnięte, oczy błękitne, a ciała dzieci pyszne w nagości swej. Ale u *Andrea del Sarto* podobnie jak u Bartolomea zdaje ci się, że to postacie nienamacalne świecą na płótnie, że one nierzeczywiste, że nie mają prawdziwych ciał, i prawdziwych namiętności, że jak piękne jaśnieją widzenia.

Są to najczęściej Madonny i święte Elżbiety otoczone dziećmi i aniołami. Czasem obie święte klęczą naprzeciw siebie, ciesząc się kształtem promiennych, niecielesnych dzieci, a nagie kształty aniołów stanęły dokoła uśmiechnięte, jako ideały dzieciństwa, jak to widać w *salon carré* w Luwrze. Czasem Madonna na tronie tuli do siebie dzieciątko blade, kształtne i bezcielesne, a blade cudne świętych cienie stoją do koła — jak w Trybunie we Florencyi. Gdzieindziej żywsze, promienne ale zawsze niecielesne barwy, i widzimy jak św. Anna młodą Madonnę czytać uczy z wielkiej księgi, albo jak anioł przy stu dni skromnej zarumienionej dziewicy cud zwiastuje — jak w Palazzo Pitti. Wszędzie i po muzeach, i po klasztorach, i we freskach klasztoru santa Maria degli Angeli to samo widzimy. Kształt doskonały ciała, oderwany od ziemi, przedstawiony oczom widza florentyńskiego przyzwyczajonego do abstrakcyjnej myśli a nie żądającego zbyt namacalnej prawdy. Rysunek arcywykwintny, a barwa z umysłu niewyraźna, i tylko wewnę-

trznem światłem wywołana. Przedmioty wreszcie takie, które idealne owe abstrakcye przedstawiają wśród szczęścia pełnego miłych a nienamiętnych uczuć rodzinnej miłości. Bolesny przedmiot, o ile mi wiadomo, raz tylko malował Andrea, a przedmiotem tym Marya rzeczywiście bolejąca i załamująca ręce nad przepysznem ciałem syna, wśród dwu płaczących aniołów w Belwederze w Wiedniu. Wielką radość także raz tylko malował Andrea, gdy stworzył w Palazzo Pitti klęczącą madonnę, o założonych w modlitwie rękach, wzniesioną na obłoku do nieba przez mnogie chóry nagich aniołków. Madonna modli się wprawdzie, ale w niej widać, że cała jej dusza wstrząśniona radością na myśl, że syna wnet ujrzy.

Postacie *Bartolomea* zupełnie obojętne. Równie piękne i równie niecielesne widzenia Andrei czują tak, jak my czujemy, a przeto bliższe nas, więcej nas obchodzą, większą radość i błogość w naszem budzą sercu, i większą sławę zjednały swemu twórcy. Współcześni nazywali go malarzem bez błędu, a i my widzimy w jego dziełach urzeczywistniony ideał czułej żyjącej Madonny, wymarzony niegdyś przez Cimabuego — tylko ideał ten wykonany rozumowo i nienamacalnie — po florentyńsku.

Nietylko we Florencyi i w Medyolanie — i w Syenie malowano na początku szesnastego stulecia pod wpływem Leonarda. Ale jeżli we Florencyi wpływ ten ulegał bardziej jeszcze idealnej i klasycznej, a zarazem bardziej niecielesnej przemianie, idealizując się w formie, a tracąc wyraz przenikliwy i arcyrozumny twarzy; ten sam wpływ w Syenie ucieleśniał w rękach *Sodomy*. Uczeń ten Pinturicchia prawie same freski malował i tłoczył na nich mnóstwo niesymetrycznie i nieidealnie ugrupowanych postaci, o doskonale pięknych, spokojnych, świetlanych, a przytem namacalnych prawie ciałach. Tu technika, bardziej ziemska, bardziej uwydatnia ideał. Tylko w wielkich freskach syeńskich jest chaos, w którym rozum darmo coś zrozumieć usiłuje — i w którym nagie ciała, draperye i idealne twarze mącą się formalnie. Objąć okiem, zrozumieć, zapamiętać można tylko pojedyńcze postacie, przypominające zupełnie starożytne posągi. W Kapitolu, w kaplicy konserwatorów i w Watykanie na jednym z sufitów widać kilka nagich, młodych postaci tego mistrza, doskonale i matematycznie pięknych a żyjących rzeczywistem życiem, o spokojnych obliczach, a promieniejących, wiecznie szczęśliwych oczach.

Najpiękniejsze jednak dzieło zostawił *Sodoma* w Syenie. Jestto fresk zdjęty obecnie ze ściany a zawieszony w syeńskiej akademii. Przedstawia on Chrystusa wieńczonego cierniami, obnażonego, i przywiązanego do pala. Ciało, dziwnie piękne, nie nosi na sobie śladów ani wieku, ani cierpienia. Twarz idealna patrzy w dół spokojnie, łagodnie, jakby ludzi szukała. Cierpienia ni śladu na boskiem obliczu mimo korony cierniowej, co sprawiać boleść winna — ale nie ma ani tryumfalnego uśmiechu Leonarda, ani samolubnej obojętności Bartolomea. Ten Chrystus okiem szuka tych, co ukochał. Jestto Zews grecki, równie żywy, potężny i piękny, który cudem jakimś uległ cierpieniu, a drugim cudem miłości cierpienie przezwyciężył. Bo przez miłość snać, a nie przez potęgę Bóg ów zapomniał o boleści — choć On i potężny i młody wiecznie — jak niegdyś na Olimpie. (C. d. n.)

PRZED LATY.

przez

MARYANA DUBIECKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Tych kilka ustępów myśli Kołłątaja żyjącym są pomnikiem jego gorącej chęci wzniesienia, od fundamentów począwszy, gmachu edukacyi publicznej dla niewiast. Podwaliną owego gmachu mają być matki i nauczycielki domowe, jedne i drugie posiadające stosowne wykształcenie. Nie chce on przedwcześnie wyprowadzać dziewcząt z gniazd rodzinnych; nie chce ich rzucać w wir życia miast wielkich, „gdzie, jak utrzymuje, nawykną do zabaw i widowisk, których nigdy u siebie i u sąsiadów nie znajdą..." „Wychować dziewczynkę w wielkiem mieście, mówi tenże reformator, jest to nauczyć ją zarazem tęsknić i nudzić się we własnym domu..."

Zdanie owo motywuje on całym szeregiem dowodów. Badając pilnie ustroje społeczne i rozwój życia rodzinnego, tak w krajach rolniczych jak również i w przemysłowych, dochodzi on wreszcie do wniosku, iż nie istnieje kraj, gdzieby dom najczęściej nie widział kobiety wśród swych ścian. Dom i rodzinne ognisko, jest wedle niego, głównem, wyłącznem nawet polem zatrudnień kobiety, i dom zatem wraz z całem otoczeniem powinien być szkołą dziewicy; powinien być areną, wśród której, zdala od zgiełku świata, ma ona oddawać się swym wyższym studyom, gdyż matka jest najlepszą i najpierwszą mistrzynią swych córek". Pensye wielkich miast, konwikta, grupujące pod jednym dachem wielką ilość dziewcząt, wychowywanie w klasztorach, potępia reformator nieodwołalnie. Istnienie pacholęcia w domu, który nie jest ożywiony ciepłem ogniska rodzinnego, widok tylko wyłączny zbyt surowych niekiedy mistrzów wydaje się mu szkodliwym dla dziecięcia. Zdanie takie wypowiada on wielekroć, usilnie się domagając od Czackiego, by nie pozwalał uczniom mieszkać w domach, które nie tworzą kółek rodzinnych. Jeżli konwikta dla chłopców, bez względu na to pod jaką formą istniały, tak srodze potępiał Kołłątaj, tem bardziej uważać je musiał za nader szkodliwe dla dziewcząt. Myślą jego zasadniczą było, chociaż tego wyraźnie nie wypowiada, utworzyć tyle szkół dla dziewcząt, ile kraj posiada ognisk rodzinnych; pracowałyby tam jednocześnie dwie mistrzynie, matka i nauczycielka. Pierwsza kształciłaby serce, druga rozwijałaby umysł. Uzupełniałyby się one wzajemnie; a każda miałaby oddzielną niwę do uprawy, nie przeszkadzałyby sobie, nie wdzierałyby się po za granice dziedzin swej pracy. Matka wszczepiałaby w młodociane serce dziewczęcia miłość własnej zagrody, miłość ogniska rodzinnego, poszanowanie zagonu uprawianego corocznie pracą rodzica; uczyłaby obowiązków i ku owej zagrodzie, i ku gromadzce rodzinnej, i ku owej niwie uświęconej wieloletnią pracą rodzica. Mistrzyni zaś przynosiłaby pod ojczysty dach dziecięcia olbrzymi zapas wiedzy, zaczerpnięty w specyalnej wyższej szkole, utworzonej wyłącznie dla kształcenia nauczycielek, i uzupełniając swą nauką, tudzież pedagogicznem doświadczeniem owe braki wiadomości szerszego zakresu, jakie pod rodzicielską strzechą dawałyby się uczuć, samą już swoją obecnością ochraniałaby dziewczątka od szukania wyższych umiejętności zewnątrz macierzystego gniazda, wśród miejskich tłumów, gdzie traciłyby dziewice „najlepsze dobro, — przykład życia domowego, do jakiego od wczesnej młodości nawyknąćby mogły pod dozorem matki, wpatrując się w jej rządne życie i gospodarstwo.*)"

Czacki nie we wszystkiem podzielał zdanie światłego męża, podejmującego wraz z nim mozolną pracę reformy. Zbyt dobrze wiedząc, iż zepsucie wkradało się naówczas do gniazd rodzinnych, o czem sam nam zostawił nader wymowne świadectwo, nie wiele on liczył na ową szkołę u ognisk domowych. Potrzeba było uprzednio wykształcić cały zastęp rozumnych i moralnych kobiet, aby usprawiedliwioną żywić nadzieję, że przyszłe pokolenia będą miały matki godne tego świętego miana. Nie usuwając więc myśli utworzenia wyższej szkoły dla ukształcenia wzorowych nauczycielek, równolegle z elementarnemi męzkiemi szkołami, podzielonemi na dwie grupy, „szkoły parafialne jedno i dwu klasowe", zakreśla Czacki plan szkół elementarnych dla dziewcząt z tymiż samymi podziałami. Przy wyższych początkowych szkołach dla żeńskiej młodzieży pragnie on mieć pensye, poddane zwierzchnictwu władzy edukacyjnej; a jako uwieńczenie całego dzieła zamierza w Krzemieńcu, gdzie założył owo słynne gimnazyum Wołyńskie, późniejsze liceum, utworzyć „Seminaryum Nauczycielek", przy którem również istniałaby „wzorowa" pensya pod daną kierownictwu „wielkiej mistrzyni nauczycielek" i władz licealnych. Ta ostatnia szkoła, szkoła wzorowa nauczycielek, projektowana w Krzemieńcu, u głównego ogniska nauk całej prowincyi, miała najbliżej stać owego ideału doskonałości szkół publicznych dla kobiet, do którego wciąż wytrwale dążyli z nieporównaną energią i prawdziwem zaparciem się siebie, wielcy ci obywatele kraju.

Przypatrzmy się teraz nieco bliżej ustawie i planom szkół początkowych żeńskich, a wreszcie urządzeniom seminaryum, które miało na celu wytworzyć stosowną liczbę prywatnych mistrzyń, owych „kierowniczek wychowania dziewic u ognisk domowych".

Szkoły początkowe mieniono parafialnemi; ale nie dla tego, aby je przy parafiach zakładano, lecz „że parafia uważała się za obręb cywilny, w którym się one znajdują". Władza duchowna nie tylko nie posiadała nad niem żadnego zwierzchnictwa, lecz ze względu, iż dzieci mogłyby być różnych wyznań, wyraźnie zastrzegała ustawa, że „obowiązki religii zostawiają się zupełnie do woli i rozporządzenia rodziców". Dzieci wszakże, należące przez swą wiarę do jurysdykcyi miejscowego plebana, są pod jego duchowną pieczą. Pleban miejscowy, acz nie władza naczelna szkółki elementarnej, wszakże wedle ducha ustawy czuwać ma nad nią. „Powinien on być radą, pociechą, pomocą i zachętą, tak dla nauczyciela, jak i dla uczniów; ma on przez swe postępowanie łagodne przynęcać dla siebie ich poufałość; ma żyć z nauczycielami jak najlepszy przyjaciel, zachęcać ich do pilnego i cierpliwego pełnienia swych obowiązków; ma zawsze przedstawiać uczniom ich wielką w oświeceniu korzyść, zachęcać rodziców, aby oddawali do szkoły dzieci, wystawiając im wielki sumienia ciężar, gdyby ich pozbawili tak wielkiego pożytku".

Pleban czuwa przytem nad moralnością i gorliwością wykładających, chociaż nieobleczony godnością urzędnika władzy edukacyjnej; czuwa

*) H. Kołłątaj w liście do Czackiego.

on zdala, i gdy spostrzeże przekroczenie obowiązków, zwraca na nie uwagę szkół powiatowych; wszystkie bowiem szkoły elementarne, tak męzkie jak i żeńskie, dwuklasowe w miastach i większych osadach, jednoklasowe zaś w wioskach, są poddane zarządowi władz edukacyjnych powiatowych. Szkoły elementarne dla dziewcząt jednoklasowe zakładają się w mniejszych osadach i mieszczą się w domach oddzielnych od szkół męzkich. Chcąc jednak co prędzej rozszerzyć oświatę wśród kobiet, ustawa pozwalała umieszczać obie szkoły pod jednym dachem, gdy brak środków wstrzymywał wystawienie oddzielnego domu dla szkółki dziewcząt, zachowując warunek konieczny, „żeby żona nauczyciela męzkiej szkółki była wykładającą dla dziewcząt, i żeby one miały oddzielną na szkołę izbę“. Najbliższą zwierzchnością nauczycielek elementarnych miał być nauczyciel szkoły męzkiej, który czuwał nad wykładem i karnością szkółki dla dziewcząt, przestrzegając, aby nauczycielka sumiennie wywiązywała się ze swych wielkich wobec społeczeństwa obowiązków. Miał on jej wypłacać uposażenie, a zabezpieczać ją od pokrzywdzeń gminy. Szkółki były bezpłatnemi. Rodzice raz tylko, przyprowadzając dziecię po raz pierwszy do szkoły, składali opłatę pieniężną, wyrównywającą wartości pół korca żyta, stosownie do cen, jakieby były w onym czasie na najbliższym rynku. Rodzice nie posiadający roli lub rzemiosła wolni są i od tej maluczkiej — zważywszy tamtoczesne ceny — opłaty, gdy złożą świadectwa zupełnego ubóstwa, wzięte u miejscowego plebana.

Ustawodawca, zapatrując się na wychowanie elementarne, jako na wspólny interes całego społeczeństwa, nie poprzestaje na tem, że szkółki zakładane bywają kosztem pojedyńczych osób lub gmin, właścicieli ziemskich, magistratur miast, brzmienie bowiem przepisów wzywa, zniewala nawet, „wszystkie stany i warstwy społeczne“ do pomnażania funduszów ludowego wychowania. Szlachta, duchowni dygnitarze i korporacye duchowne, opactwa, plebanie, wnoszą wedle brzemienia przepisów pewną daninę, niewielką wprawdzie i w dużych odstępach czasu, ale wnoszą stale, według wymagań ustawy, na rzecz oświaty ludowej. Zdaje się, że reformatorom chodzi więcej o zainteresowanie wszystkich warstw ukształconego społeczeństwa sprawą edukacyjną, o wciągnięcie ich — że tak rzekę — do współpracownictwa w wielkiej, a w następstwa obfitej, pracy ukształcenia społeczeństwa, niż o wydostanie znaczniejszych sum dla kasy edukacyjnej. Bo jeżeli nowy dziedzic, obejmujący w posiadanie majątek, złoży jednorazową daninę pieniężną, wyrównywającą wartości trzydziestu korcy żyta, jeżeli raz w ciągu dziesięcioletniego okresu korporacye duchowne — wyjąwszy zakony żebracze — pospieszą z takąż samą ofiarą, to zaiste, mniej tu miano na celu zbogacenie wielkimi dary kasy edukacyjnej, niż tę wniosłą myśl, by gmach instrukcyi publicznej stawał wznoszony rękoma całej powszechności, by całe społeczeństwo, przyczyniając się swym groszem do jego istnienia, uważając go za dzieło rąk własnych, miało o nim stateczną pieczę i nadal troszczyło się o jego wzrost i pomyślność.

(C. d. n.)

DO J. I. KRASZEWSKIEGO.

PIOSENKA.

Dziś, gdy wszystkie się ręce
Cisną do Twej dłoni,
Pozwól mojej piosence,
Niech także zadzwoni.

A dumne to i harde,
Ta moja piosenka;
Dla przemocy — ma wzgardę,
Przed królmi nie klęka.

Złoto, blaski, dworszczyzna,
U niej w poniewierce;
Dla niej królem — Ojczyzna,
Geniusz, trud i serce.

Więc najpierwszy patryoto
Wśród naszego koła,
Moja piosnka przed cnotą
Twoją chyli czoła.

Więc geniuszu najpierwszy
Naszej ziemi drogiej,
Moja piosnka najszczerszy
Hołd Ci śle pod nogi.

Więc najpierwszy nam wzorze
Trudu i kochania,
Moja piosnka w pokorze
Swój sztandar Ci skłania.

Wiedź nas w światła zaranie
Wciąż, Ojcowską ręką...
. . . .
Zachowaj go nam Panie!
Uklęknij piosenko.

Pisałem w Boczowie d. 5 Października 1877 r.

M. Rodoć.

PLOTKI I NIE-PLOTKI

WARSZAWSKIE.

I.

Warszawka, jak każde wielkie miasto, jak każda stolica — z państwem, lub bez państwa — gorączkowe swe życie manifestuje nieustannemi zmianami humorów i usposobień nazwanych modą—a raczej naśladownictwem tych, którym się podoba, lub którzy umieją rozkazywać, pędząc różnobarwne a eleganckie tłumy w tę stronę, w którą sami kroczą, popychani przedewszystkiem własną fantazyą, rzadko popartą rozumem, a nawet niestety loiką.

Czy uwierzycie! — Warszawka zapomniała, czyli inaczej już przyzwyczaiła się do wojny wschodniej. Widząc upokorzonych Moskali, nasycona tak łatwą zemstą, mało się zajmuje krwawymi zapasami — wierząc w rychły pokój. Wojowniczą gorączkę przygasiły — (słuchajcie — słuchajcie) tombola i maskarada — która — to nie do uwierzenia — aż w czterech wielkich gmachach odbywać się będzie! Maski mogą przelatywać od jednego do drugiego gmachu przez oświetlone ulice za jednym i tym samym biletem. Wiele to będzie przyjemności — i rozkoszy — a co miłych niespodzianek i dowcipu!... I jakże się tu zajmować wojną wschodnią wobec zapowiedzianej nadzwyczajności, albowiem tombola w czterech gmachach jednocześnie — większą jest u nas nadzwyczajnością, jak naprzykład wieść o rewolucyi w Paryżu.

— Wielka rzecz rewolucya, tyle już ich było—odpowie prawowierny Warszawiak z *szykiem* (koniecznie), ale tombola w czterech gmachach jednocześnie od razu!? Ho — ho!

Do uciszenia namiętności wojny z również dobrym skutkiem, co tombola, przyczynił się piękny kontr-alt panny Julii Trzeszczkowskiej, o którym Warszawka głośno rozpowiada — dając do zrozumienia, że się zna na *kontr-altach.* Dalej zapowiedziany telegramami z Paryża?! koncert Saen-Saens'a. Kontr-alt panny Trzeszczkowskiej i przyszłe wystąpienie w grze fortepianowej Saen Saens'a należą do *szyku* — zatem p. Trzeszczkowska będzie uwielbianą przez dwa tygodnie, a Saen Saens — oklaskiwany i wywoływany bez liku.

Warszawska publiczność en masse, będąc jak każda ludność wielkiego miasta w miarę płytką — proszę się nie gniewać — później się z tego wytłumaczę — jest przez to nader muzykalną! — Co zupełnie nie przeszkadza, że mało kto tutaj zna się gruntownie na muzyce — wszyscy za to grają, śpiewają, rozprawiają, krytykują.. czyli melomanują. Widać nie mają nic lepszego do roboty.

A propos śpiewu — obecnie Moskale, którzy się przeważnie wżyli w tutejsze stosunki i na pół spolszczyli — ciągną najwyżej, bo aż do *ut* — ale na smutną nutę. Oni jedni zajmują się gorąco wypadkami wojny wschodniej, widzą w niedalekiej przyszłości katastrofy w własnem państwie. A co dla nich najcięższe, przeczuwają tranzlokacye z Warszawy — naprzykład do Orła, Symbiru, Wiatki, Ufy. Przyznacie, że to nie wesołe.

Po smutnych ich twarzach wróżyć można, że się źle dzieje w matuszce Rassii, a czytając gazety moskiewskie, mielibyśmy nawet pewne powody do uważania pozycyi naszych opiekunów za zrozpaczoną — gdyby nie wasz krakowski kolega nieśmiertelny *Czas*, dostarczany nam przez dość łatwą kontrabandę. On nam oczy otworzył — i w ostatniej korespondencyi zamieszczonej z Bukaresztu, (której moskiewskie dzienniki nie śmiały powtórzyć) upewnił, że Rosyanie w pierwszej połowie kwietnia będą w Stambule!

Ha, jeżeli tak — po cóż sobie rozweselać serca i draźnić nerwy — nadziejami, tak niebezpiecznemi — jak marzenia o wolności! Dziękując więc *Czasowi* za jego przezorność i patryotyczną zimną wodę — nie chcąc tracić czasu napróżno — myślami, co nam dalej czynić i jak pracować wypada, aby sobie samym radzić, gdy opiekunowie nasi opuszczą nas — zajmujemy się *gorąco*, powtarzam *gorąco, organizacyą* szeregu koncertów i wieczorów urządzanych przez komitet Towarzystwa muzycznego. Dość, że będzie grać Wieniawski, Saen Saens, a Trzeszczkowska śpiewać. Jak będzie przebierał palcami człowiek, który się tak dziwnie nazywa, intryguje nas wszystkich i rozciekawia.

Jużto dzienniczek wasz krakowski, a podobno frakcya, czy też lepiej koterya, stojąca za jego plecami — miałaby w nas, wyćwiczonych i nauczonych subordynacyi, wierne i potulne barany, gdyby Moskale ustąpili, a owa koterya ze swą falangą hrabiów galicyjskich zaczęła rządzić, tak jak dziś podobno rządzi w Galicyi.

Numer *Czasu*, w którym jest owa sławna korespondencya z Bukaresztu dałem jednemu z mych znajomych, nawet jak na Moskala, dość

uczciwemu człowiekowi. Ponieważ nie rozumiał po polsku, przetłumaczyłem mu treść po rosyjsku (u nas po rusku). Śmiał się biedaczysko — to też i zawołał:

— Wot s... s... łżą bo łżą, że aż się piekło śmieje. — A pochyliwszy się do mnie szepnął mi do ucha:

— Oni chcą tu przyjść ze swymi czarnymi duchami (to znaczy jezuitami) i was jeszcze raz caru sprzedać, ale car nasz woli rewolucyu, albo konstytucyu — jak czarnych duchów...

Uśmiałem się z polityki Moskala - i wiary, aby nas jeszcze raz można było sprzedać caru!.. Chyba że nas *ktoś* poprzednio odkupi — bo my sami dziś — wątpię?...

Mam środek... Tak wiele, tak ciągle i nieustannie gramy i śpiewamy, że samemi symfoniami powinniśmy się starać wzruszyć i rozkruszyć serca moskiewskie, aby dobrowolnie ustąpili z zagrabionej nam ojczyzny. A wtedy i Austrya ustąpiłaby *Galicyi*. Sejm ze Lwowa ze swym marszałkiem przeniósłby się do Warszawy — *Czas* stałby się organem rządowym — Golianek prymasem państwa — Staś Koźmian dyrektorem teatru — a podobno wasz Benjaminek, ulubieniec dam krakowskich, jako synekurę za długoletnią pracę w redakcyi *Czasu* — otrzymałby balet. Henryk Wodzicki zostałby ministrem skarbu (tak potrzebuje pieniędzy) jego teść książę ministrem sprawiedliwości (fama niesie, że jest tęgi łepak), a wtedy karałby więzieniem tych, którzyby nie przyjmowali jego weksli, jako nie przyjaciół pracy organicznej.

Przeniesiony sejm, na pierwszem posiedzeniu w murach zamku krakowskiego, rzekłby — że prawo wydane co do kozic i nietoperzy — rozciąga się na całe państwo, czyli na przybraną prowincyę do Galicyi, na tak nazwane królestwo polskie — poczem byłaby wielka recepcya na zamku i bal w Łazienkach z fajerwerkami. Albowiem po wielkich pracach i trudach ojcowie narodu mieliby prawo i powinniby się zabawić.

Atoli uchwalone i jednogłośnie przyjęte prawo co do kozic i nietoperzy poruszyłoby pewne sfery stolicy — w których kozice i nietoperze odgrywają główną rolę. Kozice protestowałyby przeciw swej nietykalności — a nietoperze przeciw opiece. I znowu ojcowie narodu stanowczą większością uchwaliliby poprawkę Krzeczunowicza, określając rodzaj i gatunek kozic. A że tego rodzaju i gatunku nie ma w Królestwie, za tem dodanoby jeszcze jednę poprawkę do poprawki Krzeczunowicza: „W razie gdyby się okazały".

Na jednej z pamiętnych sesyi sejm przeniesiony ze Lwowa do Warszawy uchwaliłby:

„Zważywszy że królestwo przyłączone zostało do Galicyi — i zważywszy, że Galicya ma tytuł królestwa Galicyi i Lodomeryi — a Lodomerya gdzieś się podziała — jak również dla ważnych względów politycznych i dyplomatycznych — a głównie, aby poczciwych sąsiadów nie drażnić widmem Polski — w czerwonej kra kusce na bakier — zmazuje się nazwa królestwa polskiego — a zastępuje się nazwą królestwa Lodomeryi!"

„Po tym wielkiej doniosłości w dyplomacyi europejskiej czynie, byłaby wielka recepcya w Łazienkach, a wielki bal na zamku. Ojcowie Galicyi i Lodomeryi przechadzaliby się po tarasie zamkowym w kontuszach, dumni z dokonanego czynu — i jeszcze raz dumni, że się nie dali opętać demagogii i demokracyi — która objawiała swe krwiożercze zamiary w usilnych staraniach i chęci zostania Polakami. Spalonoby na tarasie ognie sztuczne w których cyfry G. i L. jaśniałyby kolorem szmaragdów — muzyka grałaby lodomeryjski hymn — a Wisła lubieżnie rozbijałaby swe wody o brzegi Warszawy z wdzięczności — że ją z polskiej zmieniono na Lodomeryjską rzekę." Wyjątek z przyszłego *Czasu* redagowanego w Warszawie.

Następnie spisanoby *pacta conventa* w których w jednym z kardynalnych punktów byłby ten, że jednym z głównych a nawet kardynalnych obowiązków i prac Jego królewskiej Mości — jest kreowanie dziennie pięciu hrabiów, bądź to z królestwa Galicyi, bądź z Lodomeryi—oprócz świąt i niedzieli — z tą poprawką Krzeczunowicza, że następnego dnia po święcie, lub niedzieli, obowiązany jest kreować dziesięciu."

Mowca urzędowy, a przeczuwam, że pewno nim będzie obecny sekretarz Akademii krakowskiej — przy rozbiorze tego punktu zawoła:

„Reprezentanci Galicyi i Lodomeryi, konstytucya 3go maja tak zwanej Rzeczypospolitej polskiej — chciała naród zmienić w szlachtę — my idziemy dwa kroki naprzód, bo przeskakując baronów przeistoczymy naród cały w hrabiów! Oto przybędzie nam ich rok rocznie, dzięki poprawce pana Krzeczunowicza — kreowania po dwójnej liczby po świętach i niedzieli... Zgadnijcie wiele nam przybędzie dziewięcio-pałkowych rok rocznie."

Szmer po sali sejmowej od szybkiego a półgłośnego użycia tabliczki mnożenia.

— Tysiąc ośmset dwadzieścia pięć — zawoła, jestem pewny, że Dunajewski.

Henryk Wodzicki jako minister skarbu z ławy ministeryalnej:

— Czynię uważnym, że w rok przestępny tysiąc ośmset trzydzieści — poczem minister, dumny ze swego odezwania się, pójdzie do ławy stenografów, pilnować, aby w jego przemowie nie zrobiono pomyłki.

Krzeczunowicz powstając:

— Jeszcze jedna poprawka.

— Słuchamy słuchamy — zawołają ojcowie narodu.

— Proponuję, aby dnia następnego po trzech królach — na pamiątkę że gwiazda, nazwana gwiazdą mądrości prowadziła trzech mędrców do żłobku Odkupiciela — pomnożyć przez trzy liczbę kreowanych!...

Tę uchwałę dowiodą ojcowie wielkiego liberalizmu i patryotyzmu — hrabiowie należą do *Noblesse'y* narodu. Cały naród znoblissować czyli uszlachetnić! — Czyż to mała zasługa?! Co tam szkoły przymusowe, nauczanie i tym podobne wyroby szatańskiego liberalizmu. Dużoż to między hrabiami uczonych?— a jednak są tem, czem być powinni!

Cóż na tę inwazyę Galicyan w razie ustąpienia Moskali powiedziałaby Warszawka — nastręcza się naturalne i bardzo loiczne pytanie.

Otóż jeżeliby Warszawka miała usposobienie obecnej chwili — czyli gdyby się to działo dziś, lub jutro — za obecnego pokolenia — wtedy Warszawka patrzyłaby na wszystko ze stanowiska idealno patryotycznego — bez żadnych sądów, dociekań, i rozpraw. Damy należące do wyższego towarzystwa z patryotyzmu cisnęłyby się na recepcye i bale — któreby się nazwały orgiami patryotyzmu. Damy, któreby nie otrzymały zaproszenia, zazdrościłyby, lecz tylko z patryotyzmu. Z początku galerye byłyby przepełnione płcią piękną i ludźmi szyku. Oklaskiwanoby wszelkie uchwały z jednakową gorączką, czy to tyczące się ochrony kozic, czy nietoperzy, czy też zmiany królestwa na Lodomeryę, gdyż te postanowienia uważanoby za kroki wyższo dyplomatyczne, a Warszawka przepada za wyższą dyplomacyą. Nareszcie prasa i inteligencya wyprawiłaby ojcu poprawek Krzeczunowiczowi objad z przystawkami, na którym Edward Lubowski inaugurowałby nową epokę odrodzenia narodu i wiekopomnej jego chwały przyczynionej mu przez poprawki autora katastru.

I znów w parę miesięcy wszystko wróciłoby do swego pogrzebu, to jest do bezika i szyku.

Całe królestwo usiłuje zadać sobie wzajemnie *szyku* — i całe królestwo gra z namiętnością w bezika, nazwanego przez zuchwałych patryotów *bezakiem*, na złość jenerał-gubernatorowi tegoż nazwiska.

Przypuszczam, żeby się wtedy wyrobiła opozycya — że emigranci przybyli z Paryża i Włoch, których niestety Galicyanie nie mogliby wypędzić — odrazu, że młodzież z Kijowa i Lwowa — a nawet sam Jan Lam ze swą kroniką przybyłby do Warszawy!... Cóżby się wtedy stało?...

Naprzód Lam z kronikami zrobiłby fiasco — kompletne fiasco! — Warszawa nie zrozumiałaby dowcipu jego kronik — gdyż ona tylko rozumie się na niewinnym dowcipie *swego* „Kurjera Niedzielnego" *swej* „Muchy"— *swych* „Kolców" i t. p. Następnie, że Edward Lubowski wystąpiłby z filipiką przeciw świętokradztwu kronik Lama — kończąc: „Niechaj przeklęci będą ci, którzy ośmielają się targać srebrne włosy przodowników narodu!" — Poparliby go Lewestam, Leo, Lewental i tym podobne stare od wielu pokoleń firmy patryotyzmu narodowego... Na jednej z sesyi Enoch — któryby wrócił na ministra sekretarza stanu, przepraszałby zgromadzonych ojców za kazirodne i ojcobójcze wystąpienie niektórych pism, podając projekt do prawa — ujęcia prasy w karby. Wtedy zapisaliby się na jeneralnych mowców większości Tarnowski i Szujski — co jednak okazałoby się zbytecznem, gdyż izba jednogłośnie uchwalilaby projekt nazwany bilem Enocha. Golian zostałby dyrektorem komisyi cenzuralnej, a Koźmian jego sekretarzem. Słysząc to Lam, tego samego dnia zniknąłby z Warszawy — a za nim posypałaby się pierwsza emigracya z krain Lodomeryi. Jedni uciekliby na Wschód, drudzy na Południe...

Leo napisałby artykuł w gazecie polskiej pod tytułem *Czuwajmy* a Lubowski poprzysiągłby napisać komedyę i zemścić się na Lamie, jak to uczynił w „Nietoperzach" na Chłapowskim, swo im dobroczyńcy.

I znówby wszystko wróciło do swego pogrzebu — do *bezika i szyku!* na tle koncertów — balów, recepcyi, spacerów po Łazienkach, saskim ogrodzie i ciasnocie w szwajcarskiej dolinie, a co post rautów. Nabożeństwo i posty, stałyby się modą i należałyby do *szyku*.

Stan ten trwałby, rachując od dziś, cztery, sześć, a nawet ośm lat, to jest do czasu, w którym by mogło dojrzeć młode pokolenie, liczące obecnie od czternastu do ośmnastu lat.

Wszędzie i zawsze po dniach burzy powstaje reakcya tem większa, im burza była cięższa i boleśniejsza w następstwach. Pokolenie, które uczestniczyło w burzy, a ocalało, niczem nie jest zajęte, jak ochroną i zabezpieczeniem swego

bytu i pozycyi — nienawidząc nietylko piorunów i grzmotów, lecz nawet orzeźwiającego wiatru, gdyż ten przypomina im ciężkie chwile, i przy tem wiedzą, że z wiatrów burze powstają. W takiem usposobieniu cóż naturalniejszego jak panowanie reakcyi wszelkiego rodzaju i formy—reakcyi, która przychodzi pod zasłoną tych, którzy wprowadzają tak nazwany porządek, czyli w chwilach, gdy zwycięzcy, zaprowadzają *status quo* przeszłości. Któż wtedy uwierzy w postęp, możność zmian — konieczność i użyteczność walki — i któż mimowoli nie stanie się reakcyonistą, tem więcej, gdy reakcya zwykle wtedy stroi się w płaszczyk do niczego nie obowiązującego patryotyzmu.

Być patryotą łatwo, ale pracownikiem, ciężko, i dlatego Warszawa jest arcy-patryotyczną—zacząwszy od profesorów, którzy z patryotyzmu zatrzymali swe katedry na uniwersytecie i dziś wykładają po moskiewsku, a skończywszy na uwielbianiu wszystkiego co warszawskie, choćby było nieraz nędzne i mizerne. Naprzykład nie ma w Warszawie słabego pisma, złego aktora — a co najważniejsza nieudolnego grajka — wszyscy przynoszą zaszczyt ojczyźnie — i unosić się nad ich talentami należy do obowiązków patryotycznych. A ponieważ patryotyzm graniczy z poświęceniem — a więc i do poświęcenia. Jużto Warszawka lubi namiętnie poświęcać się z patryotyzmu. Czy to iść do teatru, czy na koncert, do galeryi obrazów, czy jechać do Szwajcarskiej doliny, czy prenumerować dziennik — wszystko to robi się z poświęcenia patryotycznego, w którem nasze damy, robiąc miny męczenniczek, celują. Nawet gdy mówią po francusku, zwykle źle, czynią to z poświęcenia i patryotyzmu, aby przechodzień, lub ludzie w cukierni, wagonie, mieli dobre przekonanie o kulturze krajowej i wysokiej cywilizacyi mieszkańców.

Są nawet w tym kierunku zapaleńcy, bo gdzież ich nie ma, oprócz Krakowa — że gdy dowiedzą się o zręcznem i przebiegłem złodziejstwie, dokonanem w Warszawie, mówią uśmiechając się i zacierając ręce:

— Paryż mógłby pozazdrościć zręczności *naszych* łotrów.

To *naszych* wymówione bywa dobitnie i z pewną dumą.

Jużto próżnością i dumą zbliżamy się do Turków. Warszawiak patrząc na katedrę w Medyolanie, powie: Nie brzydka, ale i nasza katedra św. Jana nie mniejsza a może ładniejsza!

(Dok. nast.)

HEKTOR SERVADAC

PRZYGODY W PODRÓŻY

PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(*Ciąg dalszy*).

ROZDZIAŁ VI.

Wzywa czytelnika, by udał się za kapitanem Servadac w pierwszej jego wycieczce po nowych posiadłościach.

Zważywszy na awanturniczy charakter kapitana Servadac, łatwo zgodzimy się na to, że ostatecznie nie uważał się on całkiem zbitym z tropu tylu nadzwyczajnymi wypadkami. Tylko mniej obojętny aniżeli Ben-Zuf, chciał on poznać przyczyny. Skutek nie wiele go obchodził, ale pod warunkiem, że będą wiadome powody. Według niego być zabitym od kuli działowej nic nie znaczyło, jeżeli tylko było wiadomo według jakich praw balistyki kula trafia w piersi. Taki był jego sposób zapatrywania się na fakta. To też zająwszy się, o ile mu pozwalał temperament, wynikami fenomenu, jaki się wydarzył, myślał tylko o wykryciu jego przyczyn.

— At, co tam! zawołał w chwili gdy noc nagle zapadała, zobaczymy to przy jasnym dniu... przypuściwszy, że dzień, wielki czy mały, powróci; bo niech mnie wilki zjedzą, jeżeli wiem gdzie się podziało słońce.

— Panie kapitanie, rzekł wtedy Ben-Zuf, co teraz będziemy robić?

— Zostaniemy tu, a jutro, jeżeli będzie jutro, powrócimy do gurbi, obejrzawszy stronę wschodnią i południową. Najważniejszą rzeczą jest wiedzieć, gdzie się znajdujemy i co się z nami dzieje, jeżeli nie możemy zdać sobie sprawy z tego, co tam się stało. A więc idąc brzegiem wschodnim i ku południowi..

— Jeżeli jest brzeg, zauważał ordynans.

— I jeżeli jest południe, dodał kapitan Servadac.

— Więc można spać?

— Tak jest, jeżeli można!

Po tem upoważnieniu, Ben Zuf, którego tyle wydarzeń nie zdołało wzruszyć, ulokował się w jednym zagłębieniu brzegu, zasłonił sobie dwiema dłoniami twarz i usnął snem nieuka, czasami głębszym nad sen sprawiedliwego.

Kapitan Servadac poszedł błąkać się po wybrzeżu nowego morza, wśród brzęczenia znaków zapytań, które mrowiły mu się w oczach.

A naprzód, jaka mogła być donośność tej katastrofy? Czy zaszła ona tylko w pewnej określonej części Afryki? Algier, Oran, Mostaganem, te miasta, tak bliskie, czy zostały oszczędzone? Czy Hektor Servadac miał przypuszczać, że jego przyjaciele i koledzy teraz zostali pochłonięci z licznymi mieszkańcami tego wybrzeża, lub że Śródziemne morze, zruszone z miejsca jakimś wstrząśnieniem, zajęło tylko część terytoryum algierskiego przy ujściu Chelifu? Wyjaśniało to poniekąd zniknięcie rzeki. Ale inne fakta kosmiczne całkiem nie dawały się wytłómaczyć.

Inne przypuszczenie. Czy należało wnioskować, że wybrzeże afrykańskie nagle przeniesione zostało w sferę równikową? To wyjaśniało zarazem nowy łuk dzienny, zakreślany przez słońce i całkowity brak zmroku; ale nie wyjaśniało dlaczego dnie o sześciu godzinach zastąpiły dnie dwunasto godzinowe, ani czem się to działo, że słońce wschodziło na zachodzie, a zachodziło na wschodzie!

— A jednak nie ulega wątpliwości mówił sam do siebie kapitan Servadac, że dziś mieliśmy tylko sześć godzin dnia i że kardynalne punkta zmieniły się, przynajmniej co dotyczy wschodu i zachodu! Zresztą, zobaczymy jutro, gdy słońce powróci — jeżeli powróci. Kapitan Servadac stał się niedowierzającym.

Bardzo to było niedogodnem, że niebo było zachmurzone i że na firmamencie nie ukazały się zwykle gwiazdy. Hektor Servadac, chociaż mało biegły w kosmografii, znał przecież główne konstelacye. Wiedziałby zatem czy polarna gwiazda pozostała na swojem miejscu, lub czy ją zastąpiła jaka inna, co udowodniłoby stanowczo że kula ziemska obraca się koło nowej osi i może w kierunku odwrotnym, a to jużby wytłómaczyło wiele rzeczy. Ale nie było żadnego otworu między chmurami, tak gęstemi, jakby zagrażały potopem i ani jedna gwiazda nie ukazywała się oczom niespokojnego postrzegacza.

Co do księżyca, to na niego nie było co czekać, bo właśnie w tej epoce miesiąca przypadał nów i co za tem idzie, księżyc znikł wraz ze słońcem pod horyzontem.

Jakież więc było zdziwienie kapitana Servadac, gdy po półtora godzinnej przechadzce, ujrzał nad horyzontem silne światło, którego promienie przeciskały się przez zasłonę z chmur.

— Księżyc! krzyknął. Ale nie, to nie może być on! Czyżby przypadkiem czysta Diana robiła tak jak inni i wschodziła na zachodzie? Nie! to nie księżyc! Nie wytwarzałby on światła tak silnego, chybaby szczególnie przybliżył się do ziemi.

I w samej rzeczy, światło rzucane przez to ciało niebieskie, było tak silne, iż przedzierało się przez mgłę i prawdziwy pół-dzień rozpostarł się po okolicy.

— Byłożby to słońce? spytał sam siebie oficer; ależ niema stu minut jak zaszło na wschodzie! A jednak jeżeli to nie jest ani słońce, ani księżyc, to cóż to takiego? Jakiś potworny bolid? A do wszystkich dyabłów! czy te szatańskie chmury nie rozstąpią się dziś?

Potem, zastanawiając się nad samym sobą, dodał:

— Pytam się, czy nie lepiej zrobiłbym, gdybym część czasu, który tak głupio zmarnowałem, użył na uczenie się astronomii! kto wie? może wszystko to, nad czem łamię sobie teraz głowę, jest bardzo prostem!

Tajemnice tego nowego nieba pozostawały nieprzeniknione. Ogromne światło, widocznie rzucone przez jakiś krąg błyszczący olbrzymich rozmiarów, zalewało promieniami swymi wyższe szczyty chmur około godziny. Potem — szczegół nie mniej dziwny — krąg, zamiast zakreślać łuk, jak każda gwiazda wierna prawom mechaniki niebieskiej, zamiast przejść na horyzont przeciwny, zdawał się oddalać po linii prostopadłej do poziomu równika, zabierając z sobą ów pół dzień, tak miły dla oka, który zapełniał atmosferę.

Wszystko więc znowu pogrążyło się w ciemności, a i mózg kapitana Servadac nie pozostał wolnym, od powszechnego zaciemnienia. Kapitan najzupełniej nic w tem nie pojmował. Najelementarniejsze prawidła mechaniki były naruszone, sfera niebieska podobną była do zegara, którego główna sprężyna nagle oszalała, planety odstępowały od wszystkich praw ciążenia i nie było żadnego powodu do przypuszczania, by słońce miało znowu ukazać się na horyzoncie.

We trzy godziny potem jednak, gwiazda dzienna, bez poprzedniego świtania, ukazała się na zachodzie, światło poranne ubieliło chmury, dzień nastąpił po nocy i kapitan Servadac, spojrzawszy na zegarek, zauważył, że noc ta trwała równo sześć godzin.

Sześć godzin nie wystarczało dla Ben-Zuf, wypadało więc rozbudzić spiocha.

Hektor Servadac potrącił go bez ceremonii, wołając:

— No! wstawaj i w drogę!

— Ależ panie kapitanie, — odrzekł Ben-Zuf, przecierając sobie oczy, zdaje mi się, że to za mało... zaledwie zacząłem usypiać!

— Spałeś całą noc!

— To mi noc!...

— Noc trwająca sześć godzin; musisz przyzwyczaić się do tego.

— Przyzwyczajmy się.

— W drogę! Niema czasu do stracenia. Wracajmy do gurbi najkrótszą drogą i zobaczmy, co się dzieje z naszymi końmi i co one my ślą o tem wszystkiem.

— Myślą zapewne o tem odrzekł ordynans, że od wczoraj nie czyściłem ich. To też zrobię im kompletną toaletę, panie kapitanie.

— Dobrze, dobrze! ale spraw się prędko i jak tylko zostaną osiodłane zrobimy rekonesans. Przynajmniej dowiemy się, co pozostało z Algeryi.

— A potem?...

— A potem, jeżeli nie będziemy mogli dostać się do Mostaganem od południa, to zwrócimy się ku Tenez przez wschód.

Kapitan Servadac i ordynans jego poszli nadbrzeżną ścieżką do gurbi. Ponieważ czuli się przy dobrym apetycie, więc nie omieszkali po drodze zbierać figi, daktyle i pomarańcze, zwieszające się nad nimi. W tej części terytoryum, zupełnie bezludnej, a z której nowe plantacye tworzyły bogaty ogród, nie obawiali się procesu o zrywanie owoców.

W półtora godziny po opuszczeniu brzegu, niegdyś prawego brzegu Chelifu, przybyli do gurbi. Tam znaleźli wszystko w takim stanie, w jakim pozostawili. Widocznie nikt nie zachodził w to miejsce podczas ich nieobecności i część wschodnia terytoryum zdawała się być tak samo pustą, jak i zachodnia, zkąd powracali.

Przygotowania do wyjazdu szybko zostały ukończone. Kilka sucharów i konserwów ze zwierzyny zapełniły torbę Ben-Zufa. Co do napoju, wody nie brakło. Liczne i przejrzyste strumienie wiły się po równinie. Dawne te dopływy rzeki, stawszy się same rzekami, stały się zarazem dannikami morza Śródziemnego.

Zefir — tak się nazywał koń kapitana Servadaca i Galeta (nazwana tak na pamiątkę młyna w Montmartre) — klacz Ben-Zufa w jednej chwili zostały osiodłane. Dwaj jezdcy szybko wskoczyli na siodła i pogalopowali ku Chelifowi.

Ale jeżeli już sami na sobie doświadczyli zmniejszenia ciężkości, jeżeli ich własna siła muskularna zdawała się w pięćkroć zwiększoną, to i oba konie w tym samym stosunku odczuły też samą zmianę fizyczną. Nie były to zwyczajne czworonogi. Jak istne hipogryfy zaledwie dotykały ziemi. Na szczęście Hektor Servadac i Ben-Zuf byli dobrymi jezdcami i popuściwszy cugle, naglili raczej, a nie powstrzymywali swych wierzchowców.

We dwadzieścia minut, ośm kilometrów, oddzielających gurbi od ujścia Chelifu, zostały przebyte; potem zwolniwszy biegu, konie poczęły spuszczać się ku południo zachodowi po dawnym brzegu rzeki.

Brzeg ten zachował poprzednie swe charakterystyczne cechy. Tylko, jak przypominamy sobie, cała druga strona znikła, zastąpiona horyzontem morskim. A więc przynajmniej aż do granicy nakreślonej przez horyzont cała ta część prowincyi Oranu przed Mostaganem musiała być pochłonięta w nocy z 31 grudnia na 1 stycznia.

Kapitan Servadac doskonale znał tę miejscowość. Dawniej robił jej pomiary i mógł najdokładniej zorientować się. Celem jego było, rozpoznawszy największą możebną przestrzeń, ułożyć raport, który przesłałby... dokąd, komu i kiedy?... niewiedział.

Przez cztery pozostające godziny dnia dwaj jezdcy ujechali około trzydziestu pięciu kilometrów od ujścia Chelifu. Z nadejściem nocy rozłożyli się obozem nad lekkiem zagięciem tego, co niegdyś było rzeką, do której wczoraj jeszcze wpadała na lewym brzegu rzeka Mina, dziś pochłonięta przez nowe morze.

Podczas tej wycieczki nie spotkano żywej duszy co było zadziwiającem.

Ben Zuf urządził posłanie jak mógł najlepiej. Konie zostały spętane i mogły paść się dowolnie gęstą trawą brzeg okrywającą. Noc przeszła bez wypadku.

Na drugi dzień, 2 stycznia, to jest w chwili gdy powinna była zacząć się noc z 1go na 2go stycznia, według dawnego ziemskiego kalendarza, kapitan Servadac i jego ordynans wsiadłszy na koń, pojechali dalej przeglądać wybrzeże. Wyjechawszy ze wschodem słońca, w ciągu sześciu godzin dnia ujechali siedmdziesiąt kilometrów.

Granicę terytoryum ciągle jeszcze tworzył dawniejszy prawy brzeg rzeki. Tylko w odległości około dwudziestu kilometrów od Miny znaczna część rzeki tej znikła, a z nią razem osada Surkelmittou z ośmiuset swymi mieszkańcami. A kto wie, czy nie taki sam los spotkał inne miasta, znaczniejsze, w tej części Algeryi poza Chelifem, jak Mazagran, Mostaganem, Orleansville?

Okrążywszy małą zatokę, nowo-utworzoną przez zerwanie się brzegu, kapitan Servadac odszukał brzeg rzeki naprzeciw miejsca, które powinna była zajmować gmina zbiorowa Ammi Mussa, starożytny Chamis. Ale nie pozostał żaden ślad tej stolicy obwodu, ani nawet szczyt góry Mankura, wysokiej na tysiąc sto dwadzieścia sześć metrów, pod którą była zbudowana.

Tego wieczora dwaj wędrowcy obozowali na przylądku, który z tej strony nagle zamykał ich nową posiadłość. Było to prawie w miejscu, gdzie powinnoby znajdować się miasteczko Memunturay, którego ani ślad nie pozostał.

— A ja dziś wieczorem spodziewałem się jeść wieczerzę i spać w Orleansville! zawołał kapitan Servadac, wpatrując się w ponure morze, rozpościerające się przed jego oczyma.

— Niepodobna panie kapitanie — odrzekł Ben-Zuf — chyba popłynąć!

— Czy wiesz, Ben-Zuf, że my z tobą mieliśmy świetną szansę!

— Już to taki nasz zwyczaj, panie kapitanie! I zobaczysz pan, że znajdziemy sposób przeprawienia się przez to morze, aby pospacerować w okolicach Mostaganem!

— Hm! jeżeli jesteśmy na półwyspie, jak należy spodziewać się, to prędzej udamy się do Tenez dla zasięgnięcia wiadomości..

— Albo dla udzielenia — odrzekł bardzo rozsądnie Ben Zuf.

Gdy w sześć godzin potem znowu powróciło słońce, kapitan Servadac mógł rozpatrzeć nowe ukształtowanie się terytoryum.

Od punktu gdzie obozowali podczas nocy, teraz brzeg ciągnął się na północ i na południe. Nie był to już brzeg naturalny, jak niegdyś brzeg Chelifu. Nowy odłam ograniczał teraz dawną równinę. Brakowało tu, jak rzekliśmy, miasteczka Memonturoy. Oprócz tego Ben Zuf, wskoczywszy na wzgórek, znajdujący się nieco z tyłu, nie mógł nic dostrzedz po za horyzontem morza. Żadnej ziemi nie było widać. A zatem nie było Orleansville'u, który powinien był znajdować się o dziesięć metrów ku południo-zachodowi.

Więc kapitan Servadac i Ben-Zuf, opuściwszy miejsce, gdzie obozowali, poszli po gruncie rozruszanym, po polu gwałtownie poszarpanem i porysowanem, pomiędzy drzewami na pół powyrywanemi i zwieszającemi się nad wodą, w tej liczbie kilku staremi drzewami oliwkowemi, których pnie fantastyczne zdawały się jakby cięte siekierą.

Dwaj jezdcy zwolnili kroku, ponieważ wybrzeże, pozębione zatokami i przylądkami, zmuszało ich do robienia ciągłych zakrętów. Tak że z zachodem słońca, zrobiwszy znowu trzydzieści pięć kilometrów, dotarli zaledwie do stóp gór Dj Merjejah, które przed katastrofą zakończały z tej strony łańcuch Małego Atlasu.

W tem miejscu łańcuch był gwałtownie rozerwany i wznosił się prostopadle nad brzegiem.

Na drugi dzień rano, po przebyciu konno jednego wąwozu, kapitan Servadac i Ben-Zuf, wszedłszy piechotą na najwyższy szczyt, poznali nakoniec dokładnie tę część terytoryum algierskiego, którego teraz zdawali się być jedynymi mieszkańcami.

Od podstawy Merjejah aż do brzegów morza Śródziemnego, na długości przeszło trzydziestu kilometrów, rozciągał się brzeg nowy. Żadna cieśnina nie łączyła tego terytoryum z Tenez, który znikł. Nie był to zatem półwysep, ale wyspa. Z wysokości, jaką oba jezdcy zajmowali, kapitan Servadac był zmuszony ku wielkiemu swemu zdziwieniu uznać, że morze otacza ich ze wszystkich stron i jak oko mogło dosięgnąć, nie podobna było dojrzeć ani śladu ziemi.

Ta nowo wykrojona w gruncie algierskim wyspa miała kształt nieforemnego czworoboku, prawie trójkąta, zajmującego razem przestrzeń dwóchset ośmdziesięciu pięciu kilometrów.

— Ha! niech i tak będzie — rzekł oficer — ale dla czego tak się stało?

— Ba! dla czego! — odrzekł Ben-Zuf. — Stało się, bo się stało! Jeżeli Ojciec przedwieczny tak zarządził, panie kapitanie, to chcąc nie chcąc trzeba się z tem zgodzić!

Zeszli z góry do koni, spokojnie skubiących zieloną trawę. W dniu tym dotarli aż do wybrzeży morza Śródziemnego, nie znalazłszy ani śladu małego miasta Montenotte, które znikło jak Tenez. Najmniejszych zwalisk nie widać było na horyzoncie.

Na drugi dzień, 5go stycznia, szybko przejechali po brzegu Śródziemnego morza. Brzeg ten nie był tak całkowicie uszanowany, jak to przypuszczał oficer sztabu głównego. Cztery miasteczka znikły z tej strony. Przylądki nie zdołały oprzeć się uderzeniu i poodrywały się od lądu. Zresztą mogli się przekonać, że wyspa zupełnie pozbawiona była mieszkańców, ich wyjąwszy; ale faunę przedstawiało kilka stad bydląt przeżuwających błąkających się po równinie.

Kapitan Servadac i jego ordynans jeszcze pięć dni wyspę objeżdżali, to jest właściwie półtrzecia dnia dawniejszego. Upłynęło zatem sześćdziesiąt godzin jak opuścili gurbi. Nakoniec powrócili tam.

— A zatem, panie kapitanie—rzekł Ben Zuf.

— Co takiego?

— Jesteś pan jeneralnym gubernatorem Algieryi.

— Algieryi bez mieszkańców.

— O! a ja, czyż się nie liczę.

— Więc ty będziesz...

— Ludnością, panie kapitanie, ludnością!

— A moje rondo? — rzekł kapitan kładąc się spać. Wartoż to było tyle się mordować!

(C. d. n.)

*

KRONIKA PARYSKA.

Paryż dnia 1. Listopada 1877 r.

„Ultramontanizm nie zna Ojczyzny i wszelkie o patryotyzmie wyklucza pojęcia“. Jeśliby był kto, coby prawdę powyższego twierdzenia najlżejszej poddawał wątpliwości, niech weźmie do ręki „Moliére et Bourdaloue“ (1 tom w 12ce. Viktor Palmé 25 rue de Grenelle St. Germain) ostatnią pana Ludwika Veuillot (znanego katolickiego pisarza) publikacyę, niech ją z należytą przeczyta uwagą a otworzą mu się oczy, i słuszności aksyomatu naszego „volens, nolens“ z rzetelnem przyklaśnie przekonaniem.

Moliére, to niezaprzeczenie jedna z najpiękniejszych, z najmniej zaprzeczanych, z najpowszechniej uznanych sław Francyi. Szczycą się nim Francuzi i szczycą się, ani słowa, słusznie, posiadali w nim bowiem istotnego ojca współczesnej komedyi, umysł wzniośle filozoficzny, jeniusz tak do „nec plus ultra“ narodowy i pomimo tego, tak ogólnie ludzki zarazem. Zawistny jakiś cudzoziemiec nicując Parnas francuski, może do pewnego stopnia zaprzeczyć wielkości Racine'owi i Corneille'owi, którzy rzeczywiście nie nazbyt korzystnie na bezstronnem ich z Szekspir'em wychodzą porównaniu. Zawistny cudzoziemiec jakiś, nicując Parnas francuski, może każdej bez wyjątku jego znakomitości, przeciwstawić gdzieindziej inną, jeśli nie wznioślejszą, to przynajmniej pod każdym dorównywującą jej względem. Jeden tylko Moliére całą głową nad tę porównawczą wyrasta skalę, przed jednym tylko Molierem zawistny ów Zoil Gallożerca nigdzie godnych dlań nie znajdując współzawodników, hołdowniczem będzie musiał uderzyć czołem. Gdyby na ogólnych jakichś ludzkości, a przynajmniej mieszkańców Europy wiecach, każda narodowość miała prawo *w jednem tylko, jednego z synów swych imieniu* swe do wiekopomnej sławy sformułować tytuły, to tam gdzie Anglia krzyknęłaby Szekspir! Hiszpania Cervantes! Włochy Rafael! lub Dante! Niemcy Goethe! Polska nareszcie Kopernik! tam Francya nie inne, broń Boże! jak to Moliéra wygłosić by musiała nazwisko.

Geniusz taki, tyle zaszczytu rodzinnej przynoszący ziemi, to jakby personifikacya jej, uosobienie, i targnąć się nań nie zdoła nikt, dla kogo święte pojęcie ojczyzny jakiekolwiek ma jeszcze znaczenie.

Pan Ludwik Veuillot (znany pisarz katolicki) podjął się misyi strącenia Moliére'a z wzniesionych mu od lat dwiestu przez ludzkość całą piedestałów sławy i wielkości. Pan Ludwik Veuillot (znany katolicki publicysta) podjął się misyi obluzgania pamięci wielkiego człowieka, brudnym, niecnym, tryskającym ślinami bezsilnej złości paszkwilem.

Dla czego? spytacie może.

Odpowiedź łatwa. W liku innych swych arcydzieł Moliére, jak wam wiadomo, napisał „Tartufe'a“. Otóż ten wiecznie żywy i wiecznie (pomimo dwiestu przeszło lat egzystencyi) świeży wizerunek obłudnika, świętoszka, dotąd kole w oczy partyę, która do absolutnego z odwzorowanym w nim modelem poczuwa się podobieństwa, dotąd „uderz w stół a nożyce się odezwą“, dotąd ją do istnych szałów bezsilnej przyprowadza wściekłości.

Moliére mógłby być sto razy większym geniuszem, niźli nim był w istocie, Moliére mógłby sto razy więcej arcydzieł w umysłowym spadku wdzięcznej przekazać ludzkości, zacna partya o której mowa, nie przebaczyłaby mu i nie przebaczy nigdy tego, iż śmiałą dłonią maskę obłudy z jej bezecnego zdarł oblicza, iż pokazał ślepym orgonom jak wygląda rzeczywiście a najczęściej to, co oni na kredyt, z jagnięcą uwielbiają ufnością.

Zuchwałość nie do przebaczenia. Wojna też wydana przez szanowną partyę temu, który ją popełnił, datuje nie od wczoraj. Wiadomo, iż komedya, o której mowa, ledwie że zapowiedziana, przed pojawieniem się swem jeszcze na scenie, już gwałtowną opozycyą z łona oburzonego wywołała klerykalizmu, i że trzeba było wszechwładnej, nie splątanego jeszcze podówczas w więzy późniejszej dewocyi Ludwika XIV. interwencyi, by opozycyę tę przemódz i do połknięcia gorzkiej przymusić pigułki.

Odtąd daty przedstawień „Tartufe'a“ na scenach tutejszych mogłyby służyć za kalendarzyk chronologiczny rozmaitych w politycznem życiu narodu francuskiego przewrotów. Ilekroć razy jakaś pomyślniejsza wolności zaświeciła dlań era, tylekroć razy natychmiast tytuł komedyi, o której mowa, teatralne zaczynał zdobić afisze. Ile kroć razy przeciwnie despotyzm brał górę, tylekroć razy „Tartufe“ spędzony ze sceny, na drzemkę do zapylonych ruszał archiwów. Przejrzyjcie kroniki dramaturgii tutejszej, a zobaczycie, iż grywany często podczas wielkiej 1789 r. rewolucyi, czasem za pierwszego cesarstwa, od 1815 do 1830 roku utwor ten ani razu na żadnej francuskiej nie pojawił się scenie, iż wygrzebany za lipcowej monarchii (Ludwik Filip), pod berłem drugiego imperyum, znowu, jeśli nie tak absolutnej jak za Restauracyi, to względnej przynajmniej uległ proskrypcyi. Osobiste nasze paryskie wspomnienia, jakkolwiek jeszcze nie nazbyt dawne, datują jednakże już od lat przeszło jedynastu. Otóż w tym przeciągu czasu widzieliśmy po kilka lub kilkanaście razy na przeróżnych scenach „Skąpca“ (l'Avare), „Mizantropa“, „Uczone kobiety“ (Les femmes savantes), widzieliśmy „Mniemanego chorego“ (Le malade imaginaise), „Matactwa Skapina“ (Les fourberies de Scapin), „Pana Pourceaugnac'a“ i inne podrzędne farsy Moliére'a. Z „Tartufem“ jego spotkać się nam było danem raz jeden tylko i to nie na przedstawieniu oficyalnem, ale na wieczorze urządzonym przez amatorskie artystów zgromadzenie.

Potrzebaż wymowniejszych świadectw na to, iż arcydzieło to istotną wskazuje prawdę, iż czcigodnej partyi rzeczywiście, jak się to mówi: „trafia w sedno“, skoro się ona tak przeciw niemu broni, skoro tak je w popiołach zapomnienia po grzebać usiłuje.

Usiłowania daremne zaiste. Co piękne a prawdziwe, tego na wieki skonfiskować nie sposób, to jak oliwa na wierzch wypływa, i pomimo jezuickich zachodów cenzury (dzięki im, być może?) nie masz w repertuarzu francuskim, ba i ogólnie ludzkim, popularniejszej od „Tartufe'a“ sztuki i obskurant nawet jakiś, bez przygotowania zapytany, „co napisał Moliére?“ na razie przepomni może o „Skąpcu,“ zakrztusi się na „Mizantropie,“ Tartufe'a wymieni śmiało jako rzecz, o której wszyscy wiedzą i której nikt ignorować nie ma prawa.

Korzystając z obecnych usposobień zarządzającej Francyą kasty politycznej, p. Ludwik Veuillot (znany dziennikarz katolicki), uznał za stosowne olbrzyma ojczystej literatury jeszcze raz wyzwać na boje, o spiżowy posąg jego jeszcze jednę skruszyć kopię złości.

Złości, powiadamy, bo czemże jest ostatnia jego książka, jeśli nie jednym długim takowej sykiem? Napisana z talentem (najzawziętszy przeciwnik zaprzeczyć go p. Veuillot nie zdoła), niebezpieczna zatem, może jak nic nie jedno młode sfałszować przekonanie, nie jeden umysł ufny a naiwny zwieść z drogi prawdy i słuszności. Dla tych to względów na obszerną, drobnostkową zasługiwałaby odprawę. Nie stać nas na nią w krótkiej dziennikarskiej kronice. Zmuszeni do oszczędności tak miejsca, jak czasu, poprzestaniemy na wytknięciu w niej tego, co głównie nasze obrusza sumienie.

Kreśląc pobieżną biografię swej „ofiary“ (jakże inaczej rzec można?) „oprawca“ (to jest autor książki, o której mowa) zaczyna od anatem ciśniętych przeciwko zawodowi aktorskiemu, któremu, jak wiadomo, Moliere większą część swego poświęcił żywota. Według p. Veuillot zawód ten z natury swej jest nikczemnym, poniżającym godność człowieczą i uniemożebniającym wszelkie szlachetne w duszy oddanych mu uczucia. Na poparcie tej tak wysoce postępowej teoryi pan Veuillot cytuje zdanie „Św. Jana Chryzostoma,“ Bossuet'a i nawet nakręcając rzecz zgrabnie dla potrzeby, pewien ustęp zgadnijcie z czego? z dzieł Jana Jakóba Rousseau, Genewczyka, w którym słynny ten ideolog, paradoksista, jeśli nie zupełnie identyczne, to mniej więcej zgodne z powyższem wypowiada przekonanie.

Pomimo tak wysokich i z takim trudem w dwóch skrajnych obozach wyszukanych dla niej adwokatów, wątpimy, by teorya p. Veuillot jakikolwiek kredyt w wykształconej XIX. wieku znalazła publiczności. Nadmieniamy o niej, nie dla roztrząsania jej, broń Boże! (Pocóż bowiem wywracać to, co się wali samo?) a tylko dla wykazania punktu, z jakiego katolicki pisarz na swój model zapatrywać się zamierza, a tylko dla przygotowania czytelnika do tego, co mu o nim dalej słyszeć wypadnie.

Od dwudziestego trzeciego zatem roku życia, aktorskiemu poświęcając się zawodowi, Moliére, samo przez się nie mógł być niczem innem, jak tylko istotą upośledzoną moralnie, żadnych wyższych nie posiadającą aspiracyi, przeciwnie, na wszelkie wyuzdaną występki. I oto snują się dowody, tę tak pessymistyczną stwierdzające opinię. Pod chrześciańskim p. Veuillot piórem, każdy najlżejszy grzeszek (któż tych nie popełnia?) prywatnego Molierowskiego żywota natychmiast olbrzymie zbrodni przybiera rozmiary. Miłośny stosunek poety (jeśli ten miał miejsce, bo na to żadnych autentycznych nie znaleziono dowodów) z Magdaleną Béjart, artystką tejże, co i on wędrownej trupy, najwięcej panu Veuillot oskarżających dostarcza argumentów. „Jakto?“ ledwie, że nie krzyczy prawowierny paszkwilista, „jakto? ów cnotliwy Moliére, który nam tak wstrętny obraz pragnącego uwieść Elmirę przedstawia Tartufe'a, ten sam cnotliwy Moliére przez lat kilkanaście w nieprawym stosunku z znaną powszechnie żyje nierządnicą i potem, gdy z upływem czasu przywiędłe wdzięki Dulcynei żadnego już dlań nie mają powabu, jej że własną, a kto wie, może i swoję poślubia córkę? Widzicie kędy żądza zemsty katolickiego zaprowadza energumena, aż do nikczemnej, na niczem nie ufundowanej i przez wszystkie wiarogodne współczesne źródła zbijanej potwarzy.

Metryka (Acte de naissance) Armandy Bé-

jart, urodzonej w 1645, a poślubionej Molière'owi w 1665 roku, powiada wyraźnie, iż ta ostatnia była prawą córką pary małżeńskiej Andrzeja i Joanny Bejart, młodszą siostrą zatem tylko co wspomnianej Magdaleny. Wszyscy bez wyjątku poważni biografowie Molière'a metrykę tę przyjmują za fakt autentyczny i żadnej seryo nie ulegający kontestacyi. Każdemu uczciwemu badaczowi wystarczyć by to powinno aż do zbytku, i trzeba zaiste być panem Veuillot, redaktorem katolickiego dziennika „l'Univers," by w nadziei wyszukania jakichś brudów, jednozgodne wszystkich współczesnych autorów odpychając świadectwo, przypuszczać raczej wszystko: pofałszowanie aktów, podstawienie jednego dziecka za drugie, i tym podobne niestworzone i niepraktykowane w ubogiej mieszczańskiej sferze historye, niźli od swego szlachetnego odstąpić zamiaru.

Ale mniejsza o to, Molière jako człowiek prywatny mało nas obchodzi. Egzystencya jego domowa mogła być pełną błędów, grzechów a nawet i zbrodni. Ani się w jej absolutną nie wdajemy obronę, ani oskarżających przeciwko niej nie podpisujemy aktów. Przedmiotem hołdów naszych jest Molière, jenialny pisarz dramatyczny, Molière filozof, Molière satyryk, prawdomowca. Prawdomowca? Bynajmniej. Pan Veuillot wręcz i absolutnie tej zaprzecza kwalifikacyi. Według niego autor „Księżniczki Elidy" (La princesse d'Elide) zasługuje na inną: pochlebcy i zausznika. Tutaj fałsz oskarżeń katolickiego krytyka wszelką przebiera miarę. Jeżeli Molière, ulegając wpływowi wieku, przez wdzięczność dla króla, istotnego opiekuna swego i dobroczyńcy, zniżył swój talent do pisania gładkich na cześć jego panegiryków, galanckich gwoli rozrywce jego madrygałów, to tenże sam Molière dowiódł niejednokrotnie, iż umie bez względu na złe skutki, jakie ta pociąga za sobą, ostrą i gorzką możnym świata tego wypowiadać prawdę. Dość jest wspomnieć „Les précieuses ridicules", zawzięte potężnego hotelu „de Rambouillet" wywołujące gniewy, dość jest napomknąć o „Szkole kobiet" (l'Ecole des femmes) i o „Szlachcicu mieszczaninie" (Le bourgeois gentilhomme), dość jest myślą na wspomnianym już „Tartufie" zatrzymać się przez chwilę, by oskarżenia podobne do właściwego im jezuickich potwarzy zredukować rzędu.

Wyszydzając ciemne strony arystokracyi i duchowieństwa, tych dwóch głównych potęg owoczesnej, ba i dzisiejszej społeczności, mógłże wiedzieć Molière, iż ujdzie mu to na sucho, iż wkrótce przeciwko zemście urażonych potężnego znajdzie protektora? Wcale nie Fawor królewski był późniejszą śmiałości tej nadgrodą, a nie poprzedzającym i wywołującym ją promotorem. Przypuszczenie, iż Molière nie wprzód na swe śmiałe zdobył się ataki, aż sobie zawczasu potężne plecy, wszechmocną królewską wyrobił protekcyą, śmieszy i oburza. Mocny Boże! Wiedziałże co, mógłże co wiedzieć król o tapicerskim synu, o mizernym wędrownym komedyancie Molièrze, zanim ten, zuchwałemi wystąpieniami swemi publicznej na siebie nie ściągnął uwagi? To przetworzenie olimpijskiego Ludwika XIVgo na popularnego jakiegoś Harun - al Raszyd'a, który *incognito*, różne na siebie biorąc postacie, wędruje pośród swych poddanych, i tajne ich zamiary i tajne ich zbadawszy przekonania godnym aplauzu swej zachęty i swej królewskiej użycza opieki, to przetworzenie Ludwika XIV na jakiegoś Harun - al - Raszyda, powiadam, dowodzi w autorze książki, o której mowa, tak głębokiej znajomości historyi, jak i uszanowania prawdy, której ona powinna być wyrazem.

(Dok. nast.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Psychologia przez Dra Ziembę, Kraków 1877 str. 196 in 12.*)

Przyjętą jest powszechnie zasadą, że tak jak sędzia, rozbierając wartość czynów, osądza je ze względu na intencyą, tak też krytyk rozbierając dzieła, zwłaszcza naukowe, przenosi się w myśli na stanowisko autora i ocenia pracę jego ze względu na cel, jaki sobie autor wytknął. Dla tego to obowiązkiem jest krytyka bacznie przestudyować *przedmowę*, ten rodzaj testamentu, w jaki autorowie zaopatrują zwykle swe dzieła, wyłuszczając w nich powody, które ich do pracy skłoniły, cel jaki sobie w niej wytknęli, środki i zasoby jakie mieli pod ręką. I ze stanowiska właśnie tych środków i zasobów, tego celu i tych powodów, powinien on przedewszystkiem pracę każdą badać, zwłaszcza, że nic go nie krępuje poddać następnie — jeżeli uzna to za stosowne — pod rozbiór, o ile cel i zamiary autora były rozumne i szlachetne, lub też o ile krzyżowały się z zasadami moralności lub z prawdami nauki.

W danym razie, mając zdać sprawę z pracy p. Ziemby, nie będziemy na szczęście narażeni na ostatnią ewentualność. Powody, które skłoniły go do napisania książki o powyżej wymienionym tytule, są i rozumne i szlachetne zarazem. Literatura nasza jest uboga w dzieła psychologiczne. Na niwie psychologii mało liczymy pracowników. Ztąd luka w literaturze, którą choć w części zapełnić postanowił sobie p. Z. Uderzyło to go jednak, dla czego u nas tak mało pracują nad psychologią, podczas gdy we Francyi a zwłaszcza w Niemczech i w Anglii, nauka ta liczy tylu i tak pierwszorzędnych badaczy. Odpowiedź łatwa: — „przyczyny tego szukać należy w przejściowem stanowisku psychologii — powiada autor — gdy bowiem jedni wychodzą z abstrakcyjnego pojęcia duszy i wszystkie zjawiska psychologiczne z niego wywodzą, inni znowu w badaniach fizyologicznych szukają klucza do wyjaśnienia zagadnień życia duchowego. Spencer, Bain, Maudsley, Lewes, Lotze, Wundt etc. badania fizyologiczne opierają na fizyologii; a przecież nie da się zaprzeczyć, że na tej drodze daleko zajść nie można. Dlatego autor postanowił sobie, korzystać wprawdzie z badań fizyologicznych, ale głównie wykazać *bezwzględną wyższość* ducha nad ciałem."

Zadanie nielada — nieprawdaż? A więc, męstwu autora należną cześć oddać wypada. P. Ziemba wchodzi w szranki, staje wobec Spencerów, Bainów, Wundtów, Lewesów etc. wyzywa ich do boju i ma im dowieść bezwzględnej wyższości swego ducha nad ubóstwianem przez nich ciałem! Jakże zajmująca byłaby to polemika i z jakimże zapałem porwalibyśmy za dzieło, przeczytawszy w przedmowie zapowiedź o tak ciekawej ze wszech miar walce, gdyby. gdybyśmy nie byli wprzódy przeczytali dzieła i nie wiedzieli już naprzód, że p. Ziemba zrzekł się wspaniałomyślnie na rzecz swych przeciwników zaszczytu ostrzelania szranków.

Widocznie po głębszej rozwadze przyszedł p. Z. do przekonania, że teza o „bezwzględnej wyższości ducha nad ciałem" nie da się w żadnym razie obronić z tej prostej przyczyny, że albo duch jest wytworem ciała i przeto nie może być od niego ani wyższym ani niższym, albo też jest czemś zupełnie różnem i wtedy do niego przyrównywany być nie może, wprost dla tej zasady, iż zjawisk niemających żadnej cechy wspólnej porównywać ze sobą nie można. Wczytawszy się zaś lepiej w dzieła wyzwanych przez siebie do walki pisarzy musiał także p. Z. dostrzedz, że oni bynajmniej nie utrzymują, że ciało jest bezwzględnie wyższe od ducha, ale że im idzie jedynie o porozumienie się co do metody badania zjawisk psychicznych. Ale to wszystko powinien był zrobić p. Z. przed napisaniem dzieła. Dlaczego jednak po napisaniu książki, wystylizował tak oryginalną przedmowę — tego doprawdy zrozumieć nie możemy.

A przecież miał tak łatwe zadanie. Mógł poprostu powiedzieć, że w zamiarze obdarzenia publiczności polskiej popularnem dziełkiem o psychologii, zebrał z kilku istniejących już w polskim języku książek (jak Szokalskiego, Lewesa etc.) kilkadziesiąt twierdzeń naukowych, dołączył do nich drugie tyle hipotez i bajeczek, dawno już z umiejętności wyrzuconych, wszystko to zmięszał razem, rozrobił wodą *des lieux communs*, przygrzał na ogniu rzekomej erudycyi i podał na stół w sosie miernej i niegładkiej stylistyki. Kto bardzo głodny i nigdy, ale to absolutnie nigdy, nie kosztował potrawy zwanej psychologią, ten może apetyt swój nieco zaspokoić; kto zaś już czytał to, co polska literatura w tej mierze posiada, ten niech lepiej nie bierze się do odgrzewanej i znacznie gorzej przyprawionej potrawy. Gdyby p. Z. taką etykietą zaopatrzył swą pracę, mielibyśmy przynajmniej sposobność podniesienia czegokolwiek z jego książki, a mianowicie skromności i należytego ocenienia swych zasług. Natomiast szumna jego zapowiedź w przedmowie, niezrealizowana wcale w książce, przywodzi nam mimowolnie na myśl owe ogłoszenia fabrykantów wiedeńskich, zaczynające się od słów: „nie do uwierzenia, a jednak prawdziwe".

lm.

TEATR.

(Stuletnia rocznica urodzin J. N. Kamińskiego. Dalsze występy pani Parżnickiej. Przedstawienie niedzielne popołudniowe. Opera.)

W przeszłym numerze Tygodnia — wskutek przyczyn, które nie są tak zajmujące, ażeby się warto było niemi dzielić z czytelnikiem — nie było rubryki teatralnej, dzisiejszy więc teatr musi objąć materyał dwutygodniowy. Niepodobna bowiem pominąć w milczeniu takiej rzeczy, jak uroczyste przedstawienie na cześć założyciela lwowskiej sceny, Jana Nepomucena Kamińskiego, w stuletnią rocznicę jego urodzin, tj. 27. października.

Jak wiadomo, przed Kamińskim tylko Bogusławski zjeżdżał czasem do Lwowa (1780 i 1795) ze swoją trupą i dawał polskie przedstawienia, ale teatru stałego nie było. Kamiński zrobił to dla Lwowa, co Bogusławski dla Warszawy: uzyskał przywilej od rządu, założył stały teatr, zasilał go własnymi utworami oryginalnymi i tłómaczeniami, wykształcił grono artystów, i przez długie lata kierował instytucyą, która była jedną z niewielu zapór stawianych germanizmowi w Galicyi. Zasługi więc jego są różnorodne i Lwów ma mu bardzo wiele do zawdzięczenia, a wraz ze Lwowem i wszystek żywioł polski Galicyi. Akt zaś hołdu złożony przez obecną dyrekcyą pamięci Kamińskiego świadczy, że i ta dyrekcya zapatruje się na swoje zadanie nie wyłącznie ze stanowiska przedsiębiorcy, że pomni o tem, iż teatr u nas jest ważną strażnicą narodowości.

Uroczyste przedstawienie, o którem mowa, składało się z „Krakowiaków i górali" po których nastąpiło uwieńczenie popiersia Kamińskiego, poprzedzone odczytaniem zastosowanego do okoliczności wiersza p. Kosteckiego. Cały personal artystyczny wystąpił w galowych strojach.

Pani Parżnicka występowała w tym czasie w kilku nowych rolach. Mieliśmy sposobność utwierdzić się w przekonaniu, że dyrekcya, angażując panią Parżnicką, pozyskała jednę z lepszych sił artystycznych. Wprawdzie zdaje się, że zakres ról tej artystki jest dość szczupły, że po za komedyę salonową nie powinien się wychylać, ale za to w tym zakresie posiada artystka bardzo cenne, powiedziałbym najcenniejsze przymioty: naturalność i prawdę w mimice i w głosie, (czasem tylko zbyt monotonnym), dystynkcyę i wdzięk ruchów, wreszcie zupełny spokój i swobodę artystyczną.

Szkoda tylko, że sztuki, w których dotychczas występowała pani Parżnicka, należą do pośledniejszych towarów importu dramatycznego. O Dianie de Lys dawniej już była mowa. Réné Halma, przedstawiany ongi we Lwowie pod nazwą „Iskry", jest wyrobem nowszej dramatycznej kuchni niemieckiej, usmażonym wprawdzie z zachowaniem wszelkich przypraw teoretycznych, ale tak z niemiecka ciężkim i niezgrabnym, że można estetycznej dostać po nim niestrawności. Wreszcie „Ćwiartka papieru" Sardou jest wprawdzie zajmującą awanturą, ale tyle w niej blagi, a tak

mało prawdopodobieństwa w wiązaniach, że bardziej zasługuje na nazwę farsy jak komedyi. Że zaś publiczność przesyconą jest tego rodzaju utworami, dowiodło tego przedstawienie poniedziałkowe: nawet wyśmienita gra p. Ładnowskiego i pani Parżnickiej, na których cały ciężar akcyi spoczywał, nie zdołała zapobiedz straszliwym pustkom w teatrze. W nawiasie dodać tu muszę, że p. Dębicki, któremu rzadko dostają się role salonowe, wybornie się wywiązał z roli wesołego rogacza.

Obok wielkiego teatru istnieje u nas teatr mały, dający popołudniowe przedstawienia niedzielne i będący niejako praktyczną szkołą sztuki scenicznej. Kto był na takiem przedstawieniu ostatniej niedzieli, mógł się naocznie przekonać o użyteczności tej tak tanim kosztem urządzonej szkoły. Wprawdzie komedyjka Kaszewskiego „On będzie moim“ nie była graną lepiej, jak się zwykle grywa na teatrze amatorskim, ale za to w komedyi Scribego „Żona, która oknem wyskoczyła“, widzieliśmy dużo młodych sił, znacznie wyrobionych. Do nich należy zaliczyć pp. Skalskiego i Nowickiego, pannę Bronikowską, a przedewszystkiem pannę Bielińską, która zresztą poraz pierwszy występowała na tego rodzaju przedstawieniach, i wyrobienie swoje zawdzięcza teatrom amatorskim.

Oddawna nie wspominaliśmy o operze. Dokonały się w niej w ostatnich czasach niektóre pomyślne zmiany. W skutek tych zmian opera nasza, w trzech czwartych włoska, dziś tylko w jednej ćwierci jest taką, a wreszcie polską. Mianowicie wrócili do niej dwaj ulubieńcy lwowskiej publiczności, pp. Zakrzewski i Köhler, a przytem pozyskała opera w osobie p. Greckiego wcale niezły materyał, jakkolwiek potrzebujący jeszcze sporo obrobienia tak pod względem śpiewu, jak i trzymania się na scenie.

A skoro operę mamy już prawie polską, to pozostaje nam tylko życzyć, aby i publiczność nasza stała się więcej polską w muzyce. Tak, niestety, publiczność nasza nie ma ucha dla rodzimej muzyki. Świadczą o tem przedstawienia „Strasznego dworu“, pustkami zwykle świecące. „Straszny dwór“ jako całość nie jest zapewne arcydziełem, ale ma ustępy niezrównanej rzewności, i dla kogoś, co ma ucho dla rodzimych melodyj, jeden taki ustęp więcej sprawi przyjemności, niż cała Aida ze swoją bardzo mądrą, ale niesłychanie zimną muzyką.

P. Köhler, powróciwszy na łono opery, występował poraz pierwszy w Ernanim. Publiczność witała go nadzwyczaj sympatycznie; oklask powitalny trwał z pięć minut, a i potem oklaskom nie było końca.

J. T.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 3. listopada.

Matka natura zabierając się do zimowego spoczynku i ogałacając drzewa z jej zielonej sukienki — owiała i mieszkańców Lwiego grodu pewną sentymentalno refleksyjną atmosferą zniechęcenia. Być może że pielgrzymka zeszłotygodniowa do krainy zmarłych na Łyczakowie, pozostawiwszy wprawdzie kolorowo illuminowane, ale zawsze nie bardzo przyjemne *memento mori* **przed oczyma naszemi — zmusiła krewkość naszego miasta do niejakiej skruchy, z którą, powiedzmy prawdę, nie bardzo nam do twarzy. Od dawna przywykliśmy widzieć fizyognomię Lwowa pełną życia, szczerego zapału i niekłamanej wesołości — a dziś pożegnawszy wystawę i lato, chodzimy ze spuszczoną głową, widocznie niezdecydowani jeszcze jakiegoby też figla nadchodzącej zimie wypłatać. Jak na złość jeszcze z pola bitwy nie dochodzą nas żadne pocieszające wiadomości. Moskale i Turcy na podobieństwo dwóch żydów, odgrażających się wzajemnie, tylko przyskakują do siebie z całą furyą, wygrażając pięściami — ale palnąć jeden drugiego, tak po naszemu, nie mają odwagi. I Szybka i Plewna — Plewna i Górny Studeń już nam się przejadły, a ten sławny Gurko, napadający w 80000 tego biedaka Szefkieta paszę z trzema tysiącami — sprawia tylko obrzydzenie i zgrozę przewagi siły nad mężtwem.**

Kłopotów miejscowych równie i nam nie brak. Nie długo przyjdzie wybierać posła do Rady państwa na miejsce p. Smolki, a tu żadnego kandydata bez ale nie mamy. Ofiarowaliśmy w tych dniach to krzesełko jednemu z wielkich panów — powiedział, że za wysokie to progi na jego nogi i podziękował. Gdyby nam chodziło w tej biedzie o stronę artystyczną tylko, to mamy wielu amatorów, gotujących się już zasiąść w owym foteliku do malowania; — ale że wystawa obrazów już zamknięta, a milczących modeli w Wiedniu już mamy sztuk kilkanaście — dlatego zdrowy rozum lwowski trzyma przezornie w swych rękach owo reichsratowe krzesełko, i gotów przy każdej próbie siadania, tak go misternie w tył odsunąć — że nie powołany amator może przewrócić koziołka. Panu Kornelowi Ujejskiemu udało się przejść, jak utrzymują złośliwi, jednomyślnością większości z mniejszości Rohatyńskiej; — niech mówią, co chcą, a nas to cieszy, bo jesteśmy przekonani, że koło poselskie nie potrafi go wkręcić w koło swych regulaminów, sprowadzających z tego kołowania prawdziwy zawrót głowy vel kołowaciznę polityczną.

Przy takim poważnym nastroju publiki lwowskiej, nic dziwnego, że Wydział Krajowy wziął się na seryo do pracy. Komitet do spraw przemysłu domowego w Galicyi pod przewodnictwem Marszałka krajowego hr. Ludwika Wodzickiego odbył już pierwszą naradę, i z łona swego wysadził komitet doradczy dla spraw rękodzielnictwa i przemysłu domowego, którego zadaniem będzie: 1. wypracować projekt ustanowienia stałej kuratoryi dla tych spraw w myśl uchwały sejmowej. 2. badać potrzeby krajowego rękodzielnictwa i przemysłu domowego, niemniej pośredniczyć z rządem i stronami w sprawach tego rodzaju aż do utworzenia kuratoryi. 3. czuwać nad istniejącemi i założyć się mającemi szkołami rękodzielniczemi w zastępstwie Wydziału krajowego. 4. przedkładać Wydziałowi krajowemu wnioski w sprawie użycia funduszów tak przeznaczonych przez sejm, jakoteż uzyskanych na ten cel od rządu lub z inszych źródeł. Taki komitet doradczy stanowią hr. Ludwik Wodzicki przewodniczący, hr. Włodzimierz Dzieduszycki, jako zastępca przewodniczącego, pp. Kajetan Orlecki, radca namiestnictwa, profesor dr. Tadeusz Pilat, członek Izby handlowej, August Schellenberg, inspektor kolei czerniowieckiej, Ludwik Wierzbicki, Adryan Baraniecki dyrektor muzeum przemysłowego z Krakowa i Dr. Ferdynand Weigel wice-prezydent z Krakowa.

Zawiązany w ten sposób komitet wybrał znów podkomitet dla ułożenia planu stałej organizacyi kuratoryi pod prezydencyą hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, z przybraniem członków Dr. Orleckiego i Dr. Wereszczyńskiego, członka Wydziału krajowego.

W takim składzie i przy takich warunkach, mamy nadzieję, że sprawa tyle ważna dla przyszłości naszego kraju, wejdzie raz na porządek dzienny. Hr. Ludwik Wodzicki objąwszy zarząd Wydziału krajowego, daje dowody najlepszej intencyi służenia dla dobra kraju w tym kierunku, co wskazuje przeznaczenie Departamentu II wyłącznie dla spraw kultury krajowej, do którego powołano jeszcze inżyniera górnika p. Syroczyńskiego w celu przyjścia z bezpłatną radą każdemu z przedsiębiorców, pragnących pracę swą i kapitały poświęcić zakładom górniczym w Galicyi.

Ten tydzień przyniósł nam jeszcze jedną nowość — pięknie i czysto odbity medal pamiątkowy dla hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, którego imię tak zaszczytnie zespoliło się u nas z tem wszystkiem, co idzie na pożytek i dobro kraju. Medal ten, przeznaczony dla publiczności, wybity jest z bronzu; na jednej stronie mieści popiersie hrabiego z napisem dokoła „Włodzimierz hr. Dzieduszycki“, na drugiej: „Pamiątka wystawy rolniczej i przemysłowej we Lwowie 1877 r. od wystawców“. Skromna to jest nagroda, za tyle gorliwej i szlachetnie podejmowanej pracy dla dobra kraju — jednak przyjemnie nam zanotować ten objaw wdzięczności publicznej, dowodzący, że i u nas prawdziwa zasługa bez względu na różne uprzedzenia kastowe, jakie nam zarzucają, znajduje powszechne uznanie.

Nareszcie, po tylu kołataniach w ministerstwie oświaty, jeszcze przez ś. p. księcia Jerzego Lubomirskiego, Zakład Ossolińskich dobił się dziesięcioletniego przywileju wydawnictwa książek dla szkół ludowych w Galicyi. Podobny układ dla szkół ludowych w języku ruskim już dawno zawarło ministerstwo z tutejszym Zakładem Stauropigiańskim — teraz dzięki staraniom dzisiejszego kuratora Zakładu hr. Kazimierza Kraskiego i Rady szkolnej krajowej, będziemy mieli tę pociechę, że wszystkie takie książki drukować się będą we Lwowie, i że z tego powodu cena ich minimalna będzie znacznie niższą od tera źniejszej. Taniość książek dla początkowej nauki jest ważnym bardzo czynnikiem rozprzestrzenienia oświaty ludowej w inszych krajach, jak naprzykład znany elementarz, wydany przez byłe Towarzystwo rolnicze Król. polskiego, już z oprawą nie kosztował więcej jak dziesięć groszy polskich, co wynosi około siedmiu centów, gdy przeciwnie u nas podobną książkę płaci się obecnie przeszło trzydzieści centów. Jestto już za wielki wydatek dla biednego kmiotka, jeżeli zwrócimy uwagę, że dziecko przynajmniej trzy takie książki zniszczy, nim się czytać nauczy.

Dzisiejszą kronikę, jakkolwiek z bolem serca, musimy zakończyć zrobieniem pewnego wyrzutu mieszkańcom Lwowa. Szanowni obywatele, raczcie się pomiarkować, że Lwów jest sobie już wielkie miasto, stolica kraju, a jakże trudno odnaleść nam się wzajemnie za życia i po śmierci. Wchodzisz do bramy jakiego domu, w którym potrzeba odszukać kogoś z lokatorów — prawdziwa rozpacz bierze, gdy przyjdzie zaglądać we wszystkie kąty podwórza i chodzić od stróża Anasza do rządcy lub gospodarza Kaifasza, i pytać i prosić, czy nie mieszka tu taki a taki... Cóżby to szkodziło i czyby wiele kosztowało kazać wywiesić w bramie listę mieszkających w tym domu lokatorów. I poważnego pana stróża by się nie fatygowało, i gospodarz mógłby zjeść spokojnie obiadek, a interesant nie dreptał by napróżno po schodach z góry i na dół, nim trafi do drzwi, których szuka. Również co się tyczy zapraszań na pogrzeby, jest zwyczaj we wszystkich większych miastach ogłaszania tych przez pisma publiczne; rozlepiane plakaty u nas, które pierwszy lepszy wandal posługacz bez ceremonii klajstruje, gdy mu potrzeba miejsca na umieszczenie różowego anonsu o wyprzedaży bielizny z powodu wojny wschodniej—odrazu grzebie nieboszczyka na murze, a znajomi i przyjaciele, którzyby mu chcieli oddać ostatnią przy-

sługę, dowiadują się o jego śmierci wtedy, gdy przyszedłszy do niego w odwiedziny do domu, usłyszą od kucharki, że dawno już wyniósł się na Łyczaków. Wprawdzie tego rodzaju jawność o ile dotyczy żywych, ma pewne niedogodności wobec czytających po polsku brodatych wierzycieli, ale skoro wydane są już prawa o lichwie, to teraz każdy dłużnik jest panem położenia wobec dawnego tyrana, i nie tylko w swojem jawnem mieszkaniu, ale i na ławeczce Hetmańskich wałów może spać spokojnie, pokazując figę spokorniałemu dziś dręczycielowi.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— *Dwutygodnik polski*, pismo polityczne, opuściło już prasę. Nr. 1 zawiera: Słowo od redakcyi. O kierunkach polityki polskiej. Delegacya polska w wiedeńskiej radzie państwa. Korespondencye z Warszawy i Krakowa. Przegląd polityczny. — Cena kwartalna we Lwowie 1 złr., na prowincyi 1.25. Cena więc jest tak niską, że nawet i panowie delegaci w Wiedniu mogliby zaprenumerować, a byłoby to dla nich z wielkim pożytkiem; artykuł bowiem „Delegacya polska“ jest tak wybornie i zarazem tak przystępnie napisany, że nawet i panowie delegaci możeby po odczytaniu go zrozumieli, że nie po to ich wysłano do Wiednia, aby pobierali dyety, ale żeby też coś robili i że nie wybierano ich na dyplomatów, tylko na reprezentantów kraju... o mało żeśmy się nie zapuścili na niewłaściwe dla nas pole polityki.

Pojawienie się *Dwutygodnika polskiego* witamy szczerem *szczęść Boże* w uczciwej pracy. Stronnictwo narodowe bowiem tak mało w ostatnich czasach objawiało skupienia, tak pozwalało rozbijać wstecznym kierunkom, że reakcyjne pisma jak gdyby po deszczu wyrastały, cieszymy się więc z tego nowego objawu żywotności naszego stronnictwa. Byłoby jednak lekkomyślnością nie do darowania, gdybyśmy nie potrafili poprzeć tego nowego, a tak potrzebnego organu prasy.

Winniśmy tu sprostować mylnie podaną w poprzedzającym nr. *Tygodnia* nazwę „Dwutygodnika polskiego,“ który nazwaliśmy *Dw. politycznym*, oraz mylnie podaną wiadomość, że p. Tadeusz Romanowicz jest jego wydawcą, gdy p. R. jest tylko współpracownikiem. Co zresztą nie wiele zmienia istotę rzeczy.

— *Przegląd sprawy wschodniej*, kwartalnik polityczny I. Pod tym szumnym tytułem wyszedł z druku jeden arkusz papieru, którego 5 kartek zadrukowanych i kosztuje 1 złr. — tak jest *jeden złr.*, jest to więc osobliwość prawdziwa pod względem ceny. Nie mniej osobliwą jest przedmowa, w której autor domaga się trzystu prenumeratorów i z góry ich porównywa z bohaterami z pod Termopilów (autor więc chce zarobić 280 złr. czyli 14 złr. za każdy 1 złr. wydany.) Do równie osobliwych rzeczy zaliczyć należy i to, że sprawozdanie ze sprawy wschodniej na cały kwartał, a jak obecnie za parę lat, ma być podawane na 5 kartkach papieru. Nareszcie największą osobliwością jest rozmyślanie autora nad tem, czy car rzeczywiście wojnę wypowiedział w celu oswobodzenia Słowian, czy nie. — Wydawcą jest p. Julian Kominkowski.

— *Czas i jego polityka* przez ks. Stojałowskiego. Autor powiada, iż zajmuje pośrednie stanowisko między *Czasem* a dziennikarstwem lwowskiem, występuje niby to w obronie dziennikarstwa lwowskiego, które zjadliwie kąsa, a niby to moralizuje *Czas*, starając się mu przypochlebić.

Autor zaczepił i nas. Na str. 24 pisze:

„Na tych zasadach oceniając lwowskie dziennikarstwo, ze smutkiem fakt ten zaznaczyć musimy, że część tego dziennikarstwa jest rzeczywiście taką, że ani nawet na czysto narodowem stanowisku nie można z nią nic mieć spólnego. Organem tej radykalnej, a tem samem tak antikatolickiej jak antinarodowej szkoły dziennikarskiej jest *Dziennik*, tytułujący się jakoby dla ironii i cynizmu *polskim*, ze swoim planetą: *Tygodniem*.

Dziennik i *Tydzień* nie tylko jawnie, stale i konsekwentnie szerzy zasady pozawyznaniowe, jak się sam wyraził, ale też tak mało ma polskości, że według własnego i wyraźnego zeznania swego głównego dziś redaktora H. Rewakowicza, żąda zmięszania rasy polskiej z żydowską, a dla pozyskania mandatu polskiego gotów się zaprzedać centralistom.“

Panie Stojałowski! gdzie loika? gdzie uczciwość? Cóż jest wspólnego między *Dziennikiem* a *Tygodniem?* to chyba, że w jednej drukarni się drukują, ale zaręczyć możemy, że innemi czcionkami i że przeto bezwyznaniowość *Dziennika* nie mogła się udzielić *Tygodniowi*. Zaręczyć możemy, że p. Rewakowicz nigdy ani redaktorem, ani współpracownikiem *Tygodnia* nie był, a tem samem nie pisał w nim o zmięszaniu ras jezuickiej — chcę mówić żydowskiej z polską.

Tydzień, panie Stojałowski, jest pismem literackiem, artystycznem, naukowem i społecznem, w program jego nie wchodzą ani kwestye religijne, ani polityczne, zajmuje się więc literaturą, sztukami pięknemi, naukami, życiem społecznem — nie zajmuje się wcale sprawami religii i polityki, chyba ze stanowiska literackiego. Nie jest więc ani katolickiem pismem, ani mahometańskiem, ani żydowskiem. Redakcya *Tygodnia* uważa nawet za wielce niedorzeczną rzecz mieszanie się niektórych pism literackich w rzeczy religijne, które jako nie wchodzące w ich program tylko pobieżnie traktować mogą, czem im szkodę przynoszą. Najlepiej by było, gdyby każdy pilnował swego rzemiosła, ksiądz kazalnicy, literat pióra, a szewc kopyta, gdyż, wdając się w rzeczy po za zakresem jego działalności zostające, i te po dyletancku traktuje i swoich obowiązków zaniedbuje. Czego ksiądz Stojałowski najwybitniejszym jest przykładem, bo odbiegłszy od swoich obowiązków, a wdawszy się w nie swoje rzeczy, naraził się na poplamienie sukni kapłańskiej, procesa itp., to ubliża stanowisku jakie zajmować powinien, i ubliża sprawie, której z powołania służyć obowiązany, ubliża religii katolickiej, której apostołem się mieni.

— W tych dniach odnaleziony został w Warszawie nowy portret Kopernika, pędzla gotajskiego malarza Spechta. Pochodzi on z roku 1791 — a malowany jest na grubej materyi jedwabnej, wielkości kilku zaledwo cali kwadratowych. Jak drugostronny napis wskazuje, portret znajdował się w kraju już od dość dawna. Portret ten nabyty został przez jednego z korespondentów muzeum Kopernika i wkrótce wysłany zostanie do Rzymu.

— Już wyszła z druku Teofila Lenartowicza *Lirenka* jako 55 tomik Biblioteki Mrówki.

— Pan M. Rodoć przygotowuje do druku piąty zeszyt swoich humorystyczno-satyrycznych *Piosnek i gawęd*.

Stowarzyszenia.

— *Sprawozdanie wydziału z czynności stowarzyszenia akademickiego „Ognisko“ w Wiedniu za rok 1877* wyszło z pod prasy i dostarczyło nam następujących dat: Stowarzyszenie istnieje 12 lat, liczy członków 144 a to z pomiędzy słuchaczy politechniki, wydziału prawnego, lekarskiego, filozoficznego, akademii rolniczej, akademii handlowej, farmacyi, konserwatoryum muzycznego, akademii sztuk pięknych i weterynarzy. Posiada żelaznego kapitału 640 złr. i miało dochodu w ub. r. 1111 złr. Rozchodu zaś 964 złr. Bibliotekę złożoną z 790 dzieł w 1158 tomach, z której w ub. r. korzystało 90 członków.

Zastanawia nas jedna pozycya. Na ogólną sumę wydatków 964 złr. (a w kasie pozostało jeszcze 147 złr), wydano na bibliotekę tylko 52 złr, a to mianowicie na sporządzenie szafy 18.25. na introligatora 15.37, właściwie więc na zakupno książek tylko 19 złr.!!! a ta kwota powstała z loteryi fantowej 9 złr. i z dobrowolnych składek 10 złr. Na sumę 1111 złr. czy nie za mało trochę kształcąca się młodzież wydaje na książki? Wprawdzie wydział udawał się o bezpłatne nadsyłanie książek do 15 księgarń lwowskich i wielu prywatnych osób — ale z tych 15 księgarń tylko jedna przychylnie odpowiedziała. Ależ trudno wymagać, aby księgarnie posyłały bezpłatnie towar, (którego same bezpłatnie nie dostają) skoro 144 członków nawet po 1 złr. rocznie nie wspomagają swojej czytelni, nawet po 10 centów rocznie nie ofiarują na tę rzecz. Wprawdzie stowarzyszenie nazbierało już 1158 tomów — ale jaka ich musi być wartość, skoro składa się ze zbieraniny rzeczy przypadkowych. Niewątpliwie większą by wartość przedstawiała biblioteka złożona ze 100 dzieł, ale wyborowych, tj. takich, które się kupują stosownie do potrzeby, a nie dostają z łaski.

Stowarzyszenie urządzało obchody: 2. grudnia (?) rocznicę zgonu A. Mickiewicza, 24 lutego rocznicę śmierci Z. Krasińskiego, 3 maja rocznicę konstytucyi 1791 r. I te daty są pouczające. Obok Mickiewicza i Krasińskiego nie spotykamy Słowackiego, ale mniejsza o to, za dużo byłoby, a nawet jest za dużo tych rocznic śmierci, obchód 3. maja wskazuje jak daleko jeszcze naszej młodzieży do pojęcia obowiązków dzisiejszej chwili, kiedy ona nie potrafiła znaleźć świeższej daty z dziejów ojczystych. Rok 1791 dopiero! a my już przebyliśmy 1830. 1846, 1848, i 1863 i obecnie jesteśmy w r. 1877, i z biciem serca oczekujemy r. 1878, a oni jeszcze żyją w XVIII. wieku. Dziwiliśmy się w br. w dniu 22 stycznia, że na obchodzie nie widzieliśmy nikogo z kształcącej się młodzieży we Lwowie, dopiero się nam wyjaśnia, że obecna młodzież o 86 lat kroczy po za narodem.

Wielkie przedsięwzięcia.

— Most na Bosforze, mający połączyć brzeg europejski z azyatyckim, zdaje się niedługo przyjdzie do skutku. Projekt takiego mostu wygotował już kapitan James Ids razem z M. Lembertem. Cały most ma być zrobiony z żelaza, oprócz skrzydeł i kamiennych filarów. Szerokość mostu wynosić będzie trzydzieści a długość 1.800 metrów. Most wznosić się będzie nad powierzchnią morza na 36 metrów. Najtrudniejsze prace będą na samym środku cieśniny, gdzie prąd wody jest stosunkowo silny i z którym walczyć trzeba będzie. Staranne badania czynione w ostatnich czasach w łożysku Bosforu, okazały, że dno cieśniny stanowi ił napływowy, leżący na pokładach piaskowych na jeden metr — piasek zaś zawiera 4 metry i 50 centm. — dalej idzie skała. Koszta budowy mostu obliczają na 125 milionów piastrów. Most właściwie łączyć będzie przedmieście Konstantynopola Perę, z brzegiem Azyatyckim.

Wojna.

— Kosztowną zabawką jest dla Moskwy wojna wschodnia. Same koszta mobilizacyi dochodzą według Memorial Diplomatique do 90 milionów rubli. Wydatki miesięczne od chwili przejścia Prutu wynoszą 50 milionów. Ogólne koszta wojny wschodniej mają dotąd wynosić $1\frac{1}{2}$ miliarda franków! A mimo to żołnierz cierpi głód i wszelki niemożliwy niedostatek.

— Rząd turecki zamierza w czasie największego napływu pobożnych do Mekki w miesiącu listopadzie i grudniu, zarządzić zbieranie składek na obecną wojnę. Porta spodziewa się tym sposobem zebrać znaczne sumy.

Statystyka.

— W Anglii ogłoszono przed paru tygodniami sprawozdanie komisyi nadzorczej nad domami obłąkanych. Ze sprawozdania tego dowiadujemy się, że w roku 1849 w Anglii było obłąkanych 36.762 na ogólną ludność kraju 1,986.701, czyli jeden waryat na 514 ludzi — w dniu zaś 1go stycznia 1877 r. liczba obłąkanych wzrosła do 66 636 ludzi, na ogólną ludność 24,517.309, czyli jeden obłąkany na 369 ludzi. Główny kontyngens obłąkanych dostarczają najuboższe klasy ludności tak, że w r. 1859 na 36.762 obłąkanych, było 31.782 ludzi nieposiadających żadnego majątku — podobnież w r. 1877 na 66.636 obł. było 59,039 ubogich. Z tego okazuje się, że przez ostatnie 18 lat stosunek obłąkania w uboższych klasach stosunek ludności nie uległ prawie żadnym zmianom.

Nekrologia.

† Hr. Aleksander Branicki zmarł nagle w Nicei, dokąd przybył odwiedzić chorego brata. Śp. Aleksander był jednym z czterech braci Branickich, rozległe na Ukrainie posiadających włości. Wykształcony wszechstronnie, zamiłowany podróżnik, w otoczeniu swojem miewał uczonych, zwłaszcza badaczy przyrody, którzy do kraju przywozili zbiory z różnych części świata. Miłośnik starych książek polskich, zebrał bogaty i drogocenny ich zbiór, którego główną ozdobą stała się dawna biblioteka Piotrowicka, nabyta przez śp. Aleksandra Branickiego od Andrzeja Koźmiana. Zbiór ten znajduje się obecnie w starym zamku Suchej, gdzie wzorowo uporządkowany i ułożony przez dr. Nowakowskiego, stał się jednym z bogatszych w Polsce. Hr. Branicki czynił zawsze i wszędzie, gdzie tylko mógł, dobrze, a lubił czynić tylko po cichu, przypadek jedynie odkrywał od czasu do czasu jak dobroczynną była jego ręka.

ROZMAITOŚCI.

Muzeum mebli. Od dawna przemysł dekoracyjny paryski dopominał się o zbiór wzorów umeblowania i przybrania apartamentów, których największą rozmaitość przedstawiają wyroby XVII i XVIII wieku, a na jakich zupełnie zbywa w zbiorach Muzeum Cluny, bardzo bogatego w tego rodzaju starożytności z dawniejszych wieków. Kazalnice, kredensy, monumentalne kominy, ciężkie stoły i ławy z czasów rycerskich, są przedmiotami nader interesującemi dla uczonych i amatorów starożytnych pamiątek, ale współczesny przemysł i artyści, którzy go uszlachetniają swojemi pracami, wymagają przedmiotów odpowiednich obecnym potrzebom, wzorów, któreby mogli naśladować z korzyścią. Kanapy, biórka, świeczniki, komody, zwierciadła w ramach potrzebują koniecznie świeżych modeli. Zdaje się, że tym razem przyjdzie do skutku tego rodzaju muzeum, które ma być pomieszczone w Luwrze. W pałacach ministeryalnych znajduje się wielka ilość mebli pełnych najdelikatniejszego smaku z epoki Ludwika XVIgo, oraz najprostszych form dyrektoryatu i pierwszego cesarstwa. Meble te znajdują się tam tym sposobem, że dzisiejsze pałace ministeryalne zostały nabyte od rozmaitych arystokratycznych rodzin, z całem umeblowaniem, które już w owe czasy było kosztownem i wspaniałem a dziś nabyło jako osobliwość daleko więcej wartości. Uznano przecie za zupełnie rzecz zbyteczną, ażeby szefowie biur siedzieli na fotelach wartujących po 10 albo 15 tysięcy franków, albo pisali na biurkach, które amatorowie, mianowicie Anglicy, chętnie pokryliby złotem. To wszystko zostanie obecnie przeniesione do galeryi Luwru, a amatorowie i artyści będą mogli w osmiu na ten cel przeznaczonych salach, podziwiać skarby sztuki, które dotąd rozrzucone po całym Paryżu były nieprzystępne dla ogółu.

Utrzymanie czystości w Paryżu. W dziennikach francuskich spotykamy następujące szczegóły o tem, ile Paryż wykłada pieniędzy na utrzymanie czystości na swych ulicach. W roku bieżącym koszta te wynoszą ogółem 4,618,000 franków. Od roku 1873 obowiązek ten przeszedł na zarząd miejski, a mieszkańcy zaś płacą na ten cel osobny podatek. Obecnie właściciel domu w Paryżu obowiązany jest co rano oczyścić tylko chodnik przed swym domem — oczyszczenie zaś środka ulicy odbywa się kosztem miasta. Cała przestrzeń, podlegająca oczyszczeniu w Paryżu, zawiera 14,500.000 metrów kwadratowych — 3,120 stałych robotników zajmuje się codziennie od godziny 3-ej rano w lecie, a od 4-ej w zimie, tą pracą. O godzinie 10-ej rano robota się kończy. Każdy robotnik otrzymuje pensyi miesięcznej od 80 do 85 franków — starsi pobierają od 100 do 105 franków miesięcznie. Okrom tego w czasie deszczów lub roztopów wiosennych, municypium wynajmuje do pomocy stałym robotnikom, ludzi, którym płaci za pół dnia jeden frank minimum, a 1 fr. 75 cent. maximum. Niekiedy liczba tych najemników dochodzi do 1.930 ludzi.

Akwaryum londyńskie ściąga obecnie do siebie mnóstwo ciekawych z powodu tego, że posiada żywego wieloryba. Wieloryb ten przez niejaki czas znajdował się z 2 towarzyszami w akwaryum nowojorskiem, należącem do głośnego Barnuma, który sprzedał go do Londynu za bardzo słone pieniądze. Wieloryb ten jest młody — waży ogółem 1000 funtów — ale że w czasie przeprawy prez ocean zmuszony był pościć przez całe dwa tygodnie, schudł więc biedaczysko i daleko mniej waży. Podróż odbył w długiej drewnianej skrzyni, ktorej wnętrze wysłane było porostami morskiemi, skrapianemi co trzy minuty wodą morską. Bądź co bądź jednak przywiezienie tego olbrzyma połączone było z wielkiemi trudnościami. W Londynie umieszczono go w żelaznym basenie, napełnionym wodą morską, której wchodzi do basenu 50.000 galonów — i spodziewają się, że w takim stanie będzie można wieloryba utrzymać przy życiu. Na pokarm otrzymuje on codziennie 25 do 30 funtów ryby, przeważnie śledzi. Na czas podróży przez ocean Atlantycki życie wieloryba ubezpieczono na 500 funtów szterlingów. Jest to pierwszy wieloryb, który szczęśliwie dostał się do Londynu.

Wybory we Francyi. Dokonane w dniu 14 bm. wybory do francuskiej Izby deputowanych dały powód do następujących statystycznych obliczeń: we Francyi jest 35.989 gmin — że zaś z powodu rozległości niektórych gmin, wypadało utworzyć 2 tysiące dodatkowych biur, w d. 14 przeto funkcyowały w całym kraju prawie 38 tysięcy biur wyborczych. Każde biuro wyborcze składa się z prezydującego, czterech asesorów i sekretarza, a zatem 228 tysięcy obywateli poświęciło cały dzień czasu od godziny 8-ej rano do 6 wieczorem, na odbieranie głosów. Ogólne wydatki zaś spowodowane wyborami, licząc na każdego kandydata w przecięciu 15 tysięcy franków — oraz, że kandydatów było 1.033 — wynoszą przeszło 15 milionów franków, nie biorąc w rachubę kosztów wynajęcia lokalów i sporządzenia kart wyborczych, jako pokrywanych z funduszów gminnych.

Drzewo niepalące się. W Nowej Kaledonii odkryto niedawno drzewo, które w języku krajowców zowie się Niauli. Jak wszystkie prawie odkrycia, Niauli posiada mnóstwo cudownych własności, omal że nie za wiele na jedno drzewo. Gdzie tylko ono rośnie, okolica wolna jest zawsze od febry panującej wszędzie w tych bagnistych krajach. Liście jej wydają woń bardzo silną ale nadzwyczaj przyjemną, znaną u fabrykantów perfum pod nazwą esencyi kajeputowej; rośnie ono zarówno nad brzegami wód, wśród cuchnących bagnisk, na płonnych piaskach a nawet na wysokich górach, co dowodzi, że posiada bardzo zgodny charakter. Rozpładza się ono samo, ale tak regularnie w pewnych odległościach, że się wzajemnie nie głuszy, a gałęzie jego tworzą zgięcia bardzo dogodne do budowy statków. Z jego kory można robić tabakierki niepalne, gdyż kora opiera się najsilniejszemu działaniu płomienia i osłania skutecznie pień. Mieszkańcy Kaledonii mają zwyczaj palić wybujałe zielsko, ale to nigdy tu nie zagraża wyniszczeniem, bo ogień nie może uszkodzić ani pnia ani gałęzi Niauli. Rząd francuski ma zamiar sprowadzić ten gatunek do Algieru. Drzewo niepalne, sadzące się samo, dostarczające perfum, rodzące się na wszelkim gruncie i oczyszczające powietrze, to prawdziwy skarb.

Straszliwa posucha panowała w ostatnich miesiącach w Australii, gdzie obecnie właśnie się zaczęło lato. Według ostatniej poczty z Melbourne, sięgającej dnia 4 go września, na olbrzymich stepach południowo australskich z powodu wyschnięcia źródeł i strumieni zginęło około trzech milionów owiec, wskutek czego ceny wełny australskiej mocno podskoczyły.

Olbrzymi ser. Kanadzie należy się sława produkowania sera, jakiego pod względem rozmiarów świat jeszcze nie widział. Na folwarku Ingersoll mianowicie oglądać można było niedawno krąg sera, ważący 7.000 funtów. W średnicy miał ten krąg stóp 6 i cali 10 (21 stóp w obwodzie), a grubości stóp 3. Do sporządzenia go użyto 36 beczek (po 20 centnarów jedna) mleka.

Wdzięczność złodziejska. Z ust wiarogodnych słyszeliśmy następujące, nader charakterystyczne opowiadanie z Królestwa:

Kilka dni temu, w sądzie okręgowym wprowadzoną była sprawa o kradzież. Dzięki argumentacyi i wymowie obrońcy, podsądny, wystawiony przezeń jako niewinny gołąbek, jako cichego serca jagniątko, został uniewinniony.

Wychodząc z sali sądowej, adwokat odzywa się do swego klienta:

Spodziewam się, mój kochany, że teraz będziesz przynajmniej oszczędzał moje mieszkanie.

— No, rozumie się, — odpowiada klient, — znamci ja wprawdzie drogę do pana adwokata, aleć człowiek ma wdzięczne serce, to może o niej zapomni.

— Jakto... znasz drogę do mnie?

— A juści... byłem u pana adwokata dwa razy... raz w dzień, kiedy pan adwokat był na obiedzie u pana X. a raz w nocy, kiedy pan adwokat był na wsi.

— I cóż?

— Nie udało się... raz pan adwokat mnie spłoszył, drugi raz sługa narobiła hałasu.

— Ale teraz przynajmniej dasz pokój tym wizytom... przecież uwolniłem cię od kozy.

— Juźci ja nie od tego... człowiek przecie nie kamień... ale ja należę do towarzystwa... jak podmówią, nagrożą, to cóż robić? trzeba iść, ale daję panu adwokatowi słowi honoru, że mi to będzie bardzo przykro...

Po takim objawie wdzięczności, adwokat podobno postanowił sobie mniej przekonywującemi argumentami dowodzić niewinności klientów tego rodzaju.

Za autentyczność faktu ręczymy.

Według przepowiedni szkockiego meteorologa i astronoma p. Piazzi Smith, ogłoszonej w czasopiśmie londyńskiem Nature, powinniśmy być przygotowani na ciężką, „twardą" zimę. „Obliczyłem właśnie — powiada p. Smith — przeciętną naszych stanów termometrycznych i zestawiłem tę cyfrę z wynikami takich obliczeń w ostatnich 40 latach. Z wykazu tego wysnuć można przedewszystkiem następujące wnioski, które zresztą potwierdzają tylko w zupełności to, co hypotetycznie twierdziłem już w roku 1870, a mianowicie: 1. W czasie od r. 1836 do 1876 trzy wielkie fale ciepła dotknęły z zewnątrz ziemię naszą, a to w roku 1846/47. w r. 1858/59 i 1868/69; fali takiej więc oczekiwać znowu można w r. 1879/80, jeżeli warunki ciepłoty zupełnie się tymczasem nie zmieniły. 2. Okresy wielkiego zimna nigdy nie przypadają w pośrodku czasu, rozdzielającego owe fale, ale właśnie zdarzają się na rok przed i po takiej fali. Już tej zimy przeto może się nam zapowiedzieć okres mroźny, mający poprzedzić falę ciepła z r. 1879/80."

Drzewo pomarańczowe znalazło także pomiędzy owadami swego śmiertelnego wroga, tak, jak n. p. latorośl winna w Phyloxerze a ziemniaki w chrząszczyku Colorado. Nowy ten mały niszczyciel pojawił się w Sycylii. Rząd włoski wyznaczył 25,000 franków nagrody za wynalezienie radykalnego wytępiania go.

Żywcem spalono na stosie 6 osób podejrzanych o „czarnoksięstwo" w Jacobo w Meksyku. Donosi o tem paryska Liberté dodając, iż wypadek ten zdarzył się d. 20 sierpnia 1877!

Niezbyt dawno dowcipny jakiś amerykanin w New-Yorku wpadł na szczęśliwą myśl zapobiegającą otwieraniu listów posyłanych w zwykłych kopertach zaklejanych gumą arabską.

Na bokach gdzie koperta się składa, chemicznym „Attempt to open" (chętka do odpieczętowania) który pozostaje niewidzialnym do tej pory, dopóki koperta nie będzie zwilżona; lub też wystawiona na działanie pary. Jeżeli był zamiar otworzenia podobnego rodzaju koperty, powyżej cytowany napis wychodzi czarnemi literami na wierzch i ostrzega adresanta, że był ktoś ciekawy, co pragnął zajrzeć do jego listu.

Ktoś powiedział głupstwo (co nawiasem powiedziawszy zdarza się najpoczciwszym ludziom niekiedy).

Obecny przy tem jegomość, rzekł do niefortunnego mówcy:

— Żałuję cię mocno, miałeś teraz tak piękną sposobność do nieodzywania się i nie umiałeś z niej skorzystać.

PP. autorów, którzy życzą, aby ich prace rychłą ocenę w „Tygodniu" znalazły, prosimy o nadsyłanie egzemplarzy do redakcyi.

Treść Nr. 11.

	str.
O metodzie traktowania spraw ludowych	161
Krwawe znamię, powieść przez J. I. Kraszewskiego (c. d.)	162
Na rzece Puerko, wspomnienie z Kalifornii przez Kaliksta Wolskiego. (c. d)	163
Wet za wet. Obrazek z życia krakowskiego przez autora: „Kłopotów starego komendanta". (c. d.)	164
Studya estetyczne. przez Wojciecha Dzieduszyckiego (c. d.)	166
Przed laty przez Maryana Dubieckiego. (c. d.)	167
Do J. I. Kraszewskiego. Piosenka przez M. Rodocia.	168
Plotki i nieplotki warszawskie.	168
Hektor Servadac. Przygody w podróży po światach słonecznych powieść przez Juliusza Verne'a. (c. d.)	170
Kronika paryska.	172
Piśmiennictwo polskie.	173
Teatr	173
Tydzień lwowski	174
Wiadomości z kraju i ze świata	175
Rozmaitości.	176

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). **Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.**